

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



NIEWIASTY U GROBU CHRYSZTUSA.

Wesołych Świąt!

Redakcja «Bluszczu»

Przy kominku.

(Pogawędka).



Odbywa się walka bogów.

Walczy królowa Zima z boginią Wiosną, sypie śnieg, wysyła zdradziecki mróz nocą, który cieniutką, jak szkło, warstwą lodu pokrywa oka kałuż i powierzchnię ziemi twarzym okuwa pancierzem. Wątle, smukłe, blado-zielone łodygi pierwiosnków, osypane puchem srebrzystym drżą z przerażenia i umierają z przestachu. Tajemnicze siły wewnątrz ziemi ukryte, potracają obumarłe korzenie i budzą do życia.

Przemozny rozkaz!... nie słabej roślince oprzeć się potężnego monarchy woli.

Ciemno jest i głucho w więziennym sklepieniu ziemi, pod stopą mur, nad głową mur, dokoła ściany twarde, nieporuszone. Słaba, cieniutka nitka roślinna wije się w mękach narodzin, czuje niemoc swoją, daremny wysiłek pragnień. Umrzeć musi w tym pierścieniu żelaznym nocy i ciszy.

Ale tajemniczy wiew przez mrok ten idzie, cisze i grób. „Zbudź się! — szept płynie. — Wyteżaj siły wszystkie, potęgo słaba! przeż się, dzwigaj, szamocz się, targaj — ja z tobą!...“

Niemasz cudów, a oto z cudów największy! Delikatny, stulony pręcik jedwabnym ostrzem swoim, który przy najłżejszym dotknięciu ręki ludzkiej uchyla się i więdnie — uderza w twarde łono ziemi, wierci ją, rozsada, zdobywa panowanie nad bryłą martwą, wybiega ku słońcu, rozwija się w liść, kwiat — tryumfalny! zwycięzki!... Kto Boga nie widział, kto głosu Jego dosłyszeć nie mógł — niech spojrzy na ten cud życia, na to wypełnienie się woli Najwyższej, ten rozkaz niecofniony, nadający słabości moc, prężeniu się — siłę, walce nieustającej — zwycięstwo!...

Prowadzi walkę Zima królowa z boginią Wiosną. Idzie wicher i mróz, i zamieć śnieżna, ostatnie zastępy swoje w bój wyprowadza. Ostre, drobne, zmarznięte kulki śniegu wicher niesie, chłodnym oddechem piersi gna chmury szarawe, białym całunem ziemię okrywa, budzącemu się życiu niesie zniszczenie i śmierć... Skowronku-poeto, przedczesny wróżbita wiosny, precz ze szlaków napowietrznych, precz! przypadnij do zmarzniętej brzdzy ziemi, zmarniej i — zgin!... Śmiały pędzie sasanki lichej, urągający mroźnemu oddechowi zimy schył czoło harde pod różgą gradowych ciosów, ugnij się, przełam i — zgin!...

Jak teraz?...

Wysilił się wicher — i przeleciał, płowe przepływały chmury, a niebo błękitne zaroiło się stadami ptaków wędrownych. Żółtawiane klu-

cze i gęsi dzikich wyciągnięty sznur — w ruchome trójkąty rysują przestwór niebieski; do opuszczonych gniazd przylatują bociany i myśla nad urządzeniem siedziby swojej. Praca i ruch, i szelest, i gwar, lot śmiały przeciwko wichrom znużonej zimy. A bogińska Wiosna usiadła nad stawem, w pieszczone dłonie ujmując gałązki wierzb, do ust swych przytula i chucha. Nabrzmiwiają pąki, aż złote, lepkie krople z nich występują. Wiosna przechodzi od drzew do drzew, od krzewów do krzewów. Nie ominie łądzki żadnej, najlichszego zdźbła marnej roślinki. Dech życia wiewa, daje mu siłę rozrodczą, przygotowuje wielki stół biesiadny.

Rozkaz życia nad wszystko jest silniejszy — a jak on jest dziwny, a jak tajemniczy, a z kąd przychodzi i jakimi drogami przychodzi, nadaremnie wysilać się będziesz nad rozwiązaniem tej wielkiej zagadki, rozumie ludzki!

Przypominam sobie jedną cudowną opowieść, jaką mi przed laty paru opowiadał Alexander Świętochowski, kiedy go był w jego Brzezinach odwiedził. Mówię: cudowną opowieść — bo taką się stała w ustach znakomitego opowiadacza — w gruncie rzeczy, było to tylko stwierdzeniem znanego faktu, codziennego wypadku, zauważonego przez wielu, po nad którym jednak przechodziło się do porządku dziennego.

Brzeziny Świętochowskiego, to zaczarowany ogród kwiatów i drzew owocowych; siedziba róż, najcudowniejszych ich odmian, bogactwa barw i najsubtelniejszych zapachów. Przedstawcie sobie chwilę kwitnień, las grusz i jabłoni osypanych bladioróżowym śniegiem kwiatów. Czarodziejska zamieć śnieżna owiewa ciebie, ale ciepła, wonna, upajająca. Chciałbyś rzucić się w tę zamieć, w ona topiel woni i barw i — oszaleć.

A tam co?

Jakiś tęcz potok, taniec fal, wysadzanych klejnotami najprzedniejszymi.

To róże białe, różowe, purpurowe, jasno i blado-żółte, o różnych cieniach i odcieniach różel!... przesliczne, przepyszne, królewskie różel!...

Ale nie wiecie nic może, że pan Alexander ma romans z niemi. Złapałem go na gorącym uczynku, aż się zarumienił autor „Duchów“. Było to rano, za ledwie słońce się obudziło i otrząsnęło sen z powiek. Perliły się jeszcze rosy na kwiatkach, drzewa stały w zadumaniu, rozbudzone na poły, na poły w marzeniu pogrążone. Poranek był orzeźwiający, cudny poranek majowy. Cicho, ostrożnie, sam jeden — bo w takich wypadkach świadków mieć nie wolno — autor „Duchów“ pomiędzy rzędami róż przechodził, najpiękniejsze z czułością kochanka do dłoni brał i — całował. Ukryty wypadkowo widziałem ten romans. I zdawało mi się, że gdy przechodził tak, róże same do ust mu się garnały. I zdawało mi się, że te, na których pocałunek poety spoczął, rozwijały się szybciej, były tak piękne, jak sny jego, upajające, jak jego myśli dla mnie; ominięte — pogrążyły się w smutku i żalu... Biedne różel!...

Nie chciałem przeszkadzać temu wylewowi uczuć. Kochał kwiaty, rozmawiał z kwiatami, i miałem uczucie takie, że one go rozu-

miały i kochały nawzajem. Lecz róża jedna zdradziła obecność moją. Obejrzał się...

— A, to wy!

Ujął jedną różę ponsową, ucałował, zerwał i podał mi...

Schowałem ją i mam dotąd na pamiątkę tej chwili przeslicznego romansu... Nie jedne już oko niewieście zajrzało do skrytki, gdzie ta róża spoczywa. Uśmiech ich mówił, że na pół odgadnięta została tajemnica posiadanego kwiatu.

Co za zawód!...

Jedyna róża, jaką mam, zeschnięta już, jest darem — mężczyzny.

Drugi romans macie, niebowały w świecie prawie.

Ale przypomnienie tej przechadzki porannej autora „Duchów“, tej sielanki, wiercie mi, nie mniej od innych pięknej, odprowadziło mnie od głównej myśli opowiadania, od tej *cudnej opowieści*, którą przypomnieć tu chciałem. Niestety! nie pamiętam słów, w jakie ubrał opowiadanie swoje pan Alexander; słów, które tworzyły najpiękniejszą poezję. Rzecz cała musi zblednąć w powtórzeniu opowieści, ale pozostanie myśl główna, o co mi w danej chwili chodzi. Mówiliśmy o tej sile tajemniczej, o której wyżej wspomniałem, która prątkom mizernym każe rozsadać twarde bryły ziemi i, zda się, niepokonane przeszkody zwyciężać. Świętochowski, zajmujący się hodowaniem roślin, mówił mi właśnie o tej sile, która nie jest niczem innym, jak twórczem tchnieniem Ducha wszechświata.

Zagadką nierozwiązaną jest to tchnienie, które udziela się roślinom zamarym, pozbawionym słońca, zakopanym w ciemnicy piwnicznej, w której jednakowa jest ciepłota przez czas zimy, aż do czasu ustalenia się dni letnich. W tej ciszy, nocy i ciepłe *jednakowem* śpią bez najmniejszego znaku życia. Nic im nie mówi o słońcu, które zewnątrz nich złotymi promieniami się rozpała; otacza ich ciemność nieprzenikniona; nic im nie mówi o oddechu wiosennym, którego moc ożywcza czują rośliny, zwierzęta i wszyscy mieszkający na powierzchni ziemi; one, ręką ludzką złożone w ten dół głęboki, w ten grób ciemny — zmian tych uczuć nie mogą; ogrzewa ich sztuczne, jednakowe ciepło, jakie przez całą ogrzewało zimę — a jednak, gdy rozbudzenia się wiosennego czas nadchodzi — nie słońce, które nie przenika ich ciemności, nie ciepło, którego zmian termometr nie pokazuje; lecz jakiś rozkaz niedosłyszalny, żyjącej, a niepojętej potęgi, niedosłyszalnym szmerem przebiega przez te ciemnice podziemne i woła: „Zbudźcie się! czas wasz nadszedł!...“

To *nadejście czasu* jest tajemnicą tajemnic. W *jednych i tych samych* warunkach przez tyle miesięcy trwania zimy korzonki roślin spały; przez tyle miesięcy otulała je ciemność ta sama, co i teraz, na wiosny początku; o ewierc stopnia nie podniosła się, ani obniżyła temperatura, słowem nic, nic w życiu ich, czy tym śnie ich nie odmieniło się, a jednak... *czas nadszedł* i pęcnieć, i przeżyć się i pękać zaczynają, posłuszne jakiemus wezwaniu tajemniczemu, jakiemus potężnemu szep-towi niewidzialnego ducha.

„W chwilach takich schodziłem nieraz — mawiał pan Alexander — do tych podziemi

gdzie spoczywają więźni moje. Zamykałem drzwi i pozostawałem sam w piwnicy.

Noc i cisza...

Nieprawda! ciszy nie było. Wchodził dech żywota i mówił pękaniem nasion, szelestem nabrzmień, potem ros, jakimi oblewały się cebulki kwiatów. Gwar, szum, szelest, loskot ziarn, tajemnicza praca niewidzialnych duchów, spełniających rozkaz najwyższy. Potrzeba tylko umieć słuchać, a wszystko się posłyszysz. Daremny wysiłek umysłu ludzkiego, by zrozumieć dlaczego tak? zkaż rozkaz ten płynie— wiemy tylko, że Rozkaz ten jest i Posłuszeństwo jest.

Wązkie, małe ściany piwnicy, kilka lichych skrzynek drewnianych wypełnionych ziemią— a cud się spełnia. Dziwaactwemby nie było kolana zgiąć i szepnąć, patrząc na to dzieło Zmartwychwstania:

„Święty i Tajemniczy! Wielki i Niezbadany! azali tylko ukochałeś te rośliny mizerne?”

Rzuciłem te słowa modlitwy własnej i smutek przez serce moje przewiał. Dziwny ten człowiek, dziwna ta dusza jego!... Różne, przeróżne uczuć fale w nią uderzają. W chwili radości niewołany jakiś cień wspomnień przesuwają się—i uśmiech zwiewa; w chwili zachwytu gad szyderstwa u stóp się zwija i płoszy czar widzenia...

Święty i Tajemniczy, Wielki i Niezbadany! objaw się szelestem pękających nasion, szmerem ziarn życiem drgających.

Alleluja za chwilę rozdzwoni się po całym obszarze katolickiego świata. Uderzą dzwony wielkim hymnem chwały, radością wierzących serc, tryumfem życia nad śmiercią. Wielkanocne jajko z rąk do rąk przechodzić będzie, życzenia gonić życzenia, a i bez wspomnień się nie obejdzie, bo one są księgą życia, zamkniętą wprawdzie, lecz konieczną do jego całości.

Alleluja!...

W przeszłości mojej i inny głos się mieszał do tego kościelnego śpiewu... Przychodził lud gromadnie, stawał przed dworcem ojców moich i witał mnie okrzykiem:

— Chrystus zmartwychwstał!...

Gdzie to było?...

Gdzie płynie Dniepr, gdzie szumi step, gdzie krzyże na rozdrożach stoją i ku niebiosom wyciągają ramiona.

Przeszedł duch wspomnień — to trudno!... Najpiękniejsze chwile życia przeżyło się w tamtej krainie; najpierwszą garść wody z Dnieprowego zaczerpnięto się brzegu, wiatr pierwszy, który pierś dziecka owiał, z dawnych, Dzikiach Pól przyleciał; tam w kamiennym grobowcu leżą prochy przodków, biała kolumna nad mogiłą matki, zapomniany grób ojca, i brat, i siostra... Trumna przy trumnie... Nie!

Ostatnie trzy trumny odbiegły od siebie... Los rozdzielił—na dalekie, trzy dalekie cmentarze rzucił... Cienie drogie... biedne cienie!... A co to?...

Zacząłem jakiś pamiętnik pisać... Wybaczcie!... Myśli samopas rzucone wyrwały się z korbów posłuszeństwa... i pobiegły—tam!... Winna temu fala wspomnień, która nadpłynęła nagle i zapomnieć kazała o ramach powszedniości zwykłej... Mógłbym cały ten ustęp przekreślić—ale... Czy będziecie się gniewali,

gdy zostanie?... Pewny jestem, że nie!... Grzech podobny i wy popełnicie, gdy się zbierzecie około stołu wielkanocnego. Przyjdą i do was wspomnienia, bo któż bez nich?... Więcej niech tylko kwiatów w nich będzie—a teraz...

Życzenia Wam niosę dni jasnych, promiennych i wiarę silną, i ufność w siły własne, i dobro wszelkie, możebne na tym biednym świecie naszym!

Kazimierz Gliński.



ZMARTWYCHWSTANIE.



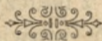
Pękły szerokie marmurowe płyty,
Zadrgała ziemia w strasznym przerażeniu —
I powstał z grobu w błękitnym olśnieniu
Ten, który w jasne unieść miał nas byty...

Słońce rzucało pas swój złotolity
Na świat, co w błogiem omdlewał uśpieniu,
Szeptaly drzewa w cichem rozmodleniu
Hymn, w niezglębioną radość upowity.

A On z promieniem bożkości na twarzy
Szedł po przez smętne ziemskich pól rozłogi,
Wyrywał ciernie i wyrywał głogi,

Co wybijały wpośród serc cmentarzy,
Przechodził miasta i nawiedzał siola
I wielką miłość czynił dookoła...

Zygmunt Różycki.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Rzuciła mu bokiem elektryzujący błysk oka,— ale Wielołęcki patrzył w inną stronę. Perspektywa samotnych wycieczek z nią do Dziecina, w celu odnowienia tego, co było kiedyś w parku jej rodziców, nie uśmiechała mu się wcale. Dlatego rad był w duchu, kiedy po podwieczorku pani Rejska, wyprawiając dzieci na spacer z panną Karoliną, rzekła do nich:

— No, moje dzieci, pożegnajcie się z cicią serdecznie, bo ją teraz nie często będziecie widywały.

— Ależ owszem, owszem! — zaprotestowała pani Mimi.— Obiecałam właśnie panu Wielołęckiemu, że będę częstym gościem w Dziecinie.

— Wybacz pani—odpowiedziała pani Rejska,— ale muszę zwrócić na to jej uwagę, że dzieci będą prowadziły bardzo systematyczny tryb życia, a więc trudno byłoby pani zastosować swoje odwiedziny do ich wolnych godzin.

— Więc pani sobie wyobraża, że zerwę wszelkie stosunki z moimi małymi kuzynkami?

— Bynajmniej; dzieci mogą czasem przejechać się do Nabrzeża, jeżeli pani pozwoli, a w każdą niedzielę po nabożeństwie można się będzie z niemi widzieć na śniadaniu w pałacu. Znajduję, że wizyty w Dziecinie psułyby dzieciom porządek dzienny, i myślę, że pan Wielołęcki jest tego samego zdania.

Pani Mimi spojrzała na pana Wielołęckiego; ten milczał, oglądając swoje paznogie z wielką uwagą.

W jednej chwili sielska przyroda straciła swój urok dla pani Mimi. Wzruszyła zlekka ramionami i rzekła:

— Dziwi mię bardzo, że pan Wielołęcki zgadza się na ekscentryczny pomysł ekspulzowania swoich dzieci na folwark, i usunięcia ich od dobrego towarzystwa i swojej kontroli!

— Dziecin jest tak blisko od pałacu — odpowiedziała spokojnie pani Rejska,— że kontrola nad dziećmi będzie daleko łatwiejszą, niż gdyby były gdzieś na pensyi.

— Przyznam się jednak pani—mówiła pani Mimi z rosnącym rozdrażnieniem,— że zupełnie nie rozumiem celu takiego systemu edukacji...

Wielołęcki w obawie żywszej dyskusji, do której pani Mimi nie omieszkałaby go wmieszać, wycofał się powoli do ogródka, gdzie Mewa i Zygmunt rozmawiali z nauczycielem.

— Zupełnie nie rozumiem—powtórzyła pani Mimi,— i wątpię, czy ktokolwiek zrozumie!

Nie zważając na jej ton ostry, pani Rejska rzekła z lekkim uśmiechem:

— Mogę wytłómaczyć, jeśli pani sobie tego życzy.

— Owszem! bardzo ciekawa...

— Zgodzi się pani ze mną, że danie dzieciom dobrego wychowania jest jednym z najważniejszych celów życia? Pomimo tego, tak mało jest domów, któreby chciały, a nawet mogły zastosować swój ustrój do tego celu—i dzieci bywają widzami różnych stron życia, uczestnikami różnych spraw jego, z którymi przedwczesne obeznanie ujemnie wpływa na rozwój ich umysłu i charakteru. Dlatego dobrze jest, jeżeli się dadzą wytworzyć dla nich warunki egzystencji całkiem odrębne, odpowiednie dla ich prawidłowego rozwoju pod względem moralnym, intelektualnym i fizycznym.

— Pani tak mówisz, jak gdyby dom rodzicielski był szkołą zepsucia!

— W domu rodzicielskim są nietylko rodzice, ale także służdy, domownicy, interesanci, goście,—wszyscy zajęci czem innym, niż wymaganiami pedagogiki. A w tem środowisku przeróżnych ludzkich spraw i przejść życiowych dziecko przedwcześnie zaznajamia się z czynnikami i przebiegiem rozmaitych namiętności, nienormalnie rozwija sobie umysł, słuchając słów nieogłędnych, dyskusji nieostrożnych, zdań niebezpiecznych. Zbyt trudno, niestety, mieć w domu atmosferę takiej prawdy i prostoty, takiej czystości i pokoju, takiej ciszy i pogody, aby w niej młoda roslinka mogła rozkwitnąć bujnie i pięknie i nabrać odporności przeciw późniejszym złym wpływom.

— To tylko matka potrafi — i ostatecznie dochodzę do wniosku, że niepowetowaną stratą dla dzieci mego kuzyna jest śmierć pani Wielołęckiej.

— Nie ulega wątpliwości, że śmierć matki jest niepowetowaną stratą dla dzieci; ale nie idzie za tem, aby pani Wielołęcka — tak samo, jak inne matki — mogła być wszystkich i wszystko w domu zastosować do wychowawczych celów.

— Może pani być pewną, że jakośby sobie z tem poradziła, nie oddalając dlatego dzieci swoich od oka macierzyńskiego! Bo, że matki nikt zastąpić nie potrafi, z tem się chyba pani zgodzisz?

— Serca kochającej matki nikt nigdy w życiu zastąpić nie zdoła; ale co do kierunku macierzyńskiego, z tem różnie się zdarza.

— Jakto? może w tem korzystnie zastąpić ją mogą płatni wyręczyście?

— Może, — bo to są ludzie specjalnie przygotowani, gdy sam tylko instynkt macierzyński nie daje odpowiedniego uzdolnienia.

— Więc pani nie uznajesz świętości charakteru macierzyństwa?

— Przyznaję, naturalnie, że powołanie matki jest święte; ale przyznać też muszę, że osoba jej różną bywa.

— Co pani przez to rozumiesz?

— To, pani łaskawa, że za mąż wychodzą nie same tylko osoby zdolne dobrze wypełnić obowiązki macierzyństwa. Matkami zostają także kobiety lekkomyślne, niedbałe, źle wychowane, a nawet złe i ograniczone. Ludzie mięwiają rozmaite charaktery i usposobienia, przyzna pani, że czasem bardzo ujemne, a jednak powszechnie wchodzą w związki małżeńskie i rodzicami bywają.

— Nareszcie rozumiem! więc pani jesteś za tem, aby usunąć dzieci z pod złego wpływu rodziców?

Nie zwracając uwagi na szyderskość tonu, pani Rejska odrzekła spokojnie:

— Jestem przekonana, że każdy rozsądny ojciec i każda dobra matka zgodzi się w tem ze mną, że dobrze jest usunąć dzieci od wspólności z życiem dorosłych ludzi.

— Wypędzając je z pałacu na folwark!

— Pani tak ceni wszystko, co francuzkie: a przecież we Francji dzieci bogatych nawet ludzi chowają się na wsi, na fermie, i nikt nie mówi, że są wypędzone z pałacu na folwark.

— To nie są dzieci z Faubourg Saint-Germain!

— A więc przypomnę pani, że w Anglii dzieci lordów i parów wyrastają na osobności — w nursery — i świetnie wyrastają! A to dlatego, że prowadzą życie odrębne, odpowiednio do swego wieku, pozostając jednakże w bliskości rodziców, a więc przy ich sercu i pod ich kontrolą. Jest to najlepszy, jaki być może, system wychowawczy dla wieku przedszkolnego — i mam nadzieję, że powierzone mi dzieci będą dobrze wychowane.

— Ja mego syna wychowywałam zupełnie inaczej, a jednak przyznasz pani zapewne, że go dobrze wychowałam?

Na ten argument pani Rejska zamilkła. Wiedziała dobrze, że właściwem wychowaniem Zygmunta zajmowali się jego dziadkowie, a ona ze swej strony dawała tylko całusy, cukierki, sukienki i silne przeswiadczenie, że prowadzi sama edukację syna, ponieważ mówiła mu od czasu do czasu: „popraw wło-

sy,“ „obciągnij bluzkę“ i „powtórz to po francuzku.“

— Nie jestem zaślepioną matką — ciągnęła dalej pani Mimi, — widzę, czego memu synowi nie dostaje i boleję nad tem; przyznaję, że inni młodzi ludzie z jego sfery mają więcej od niego elegancyi i szyku, ale nie moja w tem wina... Bywają warunki i okoliczności, ograniczające macierzyńskie wpływy... To jednak może służyć za jeden dowód więcej, że kierunku matki nikt — nigdy zastąpić nie może!

Pani Rejska słuchała spuściwszy oczy — i nie odpowiedziała ani słowa. Pani Mimi, w przekonaniu, że ją przeargumentowała, uznała dyskusję za skończoną, i powstawszy tryumfalnie, szeleszcząc jedwabiami wypłynęła do ogrodu, aby połączyć się z towarzystwem.

Próbowała później parę razy — dla postawienia na swoim — zajeżdżać do Dziecina spacerem, ale bramę zastawała zamkniętą, z furtki wychodził stary Michał, i z niskim pokłonem przeproszał, że dzieci widzieć w tej porze nie można, bo są zajęte z panem Ignacym, albo wyszły z panną Karoliną. Dała więc pani Mimi tymczasem za wygraną, poprzysięgając sobie w duszy, że, gdy zostanie nareszcie panią Wielołęcką, najpierwszym aktem jej rządów w Obrywinie, będzie wydalenie tej niemożliwej Rejskiej, i powierzenie Jania i Nili jakiej dystygowanej Paryżance.

Brama Dziecina nie była zawsze zamkniętą. Prócz dzieci z paru domów sąsiedzkich, które przyjeżdżały z nauczycielkami, przychodziła tam codzień prawie Klara, i zaglądała co parę dni Malwa. Klara dawała dzieciom według wskazówek Kanonika lekcye religii, a Malwa rozbudziła w Nili gust do ładnych robót i uczyła ją swoich haftów, ku wielkiej uciechy pani Rejskiej, która utrzymywała, że panięskie rączki i oczy wiele zyskują na tem, jeżeli podczas rozmowy znajdują punkt oparcia na jakimś wytwornym deseniku, wychodzącym z pod zręcznej igielki. Malwa to zdanie rozwinęła szerzej, dowodząc, że i w meżkiem ręku ładniej wygląda jakieś narzędzie do roboty, niż karty lub cygaro, — a że Jań okazywał wielki zachwyt dla snycerskich wyrobów Jura, panie uprosiły tegoż, aby malca nauczył wyrzynania, więc i Jur także po parę razy na tydzień bywał w Dziecinie.

A Jań i Nila pysznie się bawili w gospodarzy domu, wyprawiając gościom swoim podwieczorki z produktów miejscowych, poczem urządzano wesołe gry w ogródku lub na łące, wesołe nie tylko dla dzieci, bo i starszym miło było orzeźwić się na chwilę czystą atmosferą prostoty i swobody.

Pewnego dnia pan Wielołęcki, Mewa i Zygmunt zaszli spacerem do Dziecina, podczas gdy tam byli Malwa i Jur. Wielołęcki, uradowany ze spotkania Malwy, zaczął jej gorliwie asystować.

— Pani jest czarodziejką — mówił, — której jedno słowo zrobiło z opuszczonej rudery tę ładną fermę.

— Moje słowo? — zapytała zdziwiona.

— Naturalnie, bo ono tylko skłoniło mię do przeprowadzenia tej zmiany. Ma pani

małą próbkę, czem byłby dla mnie każdy rozkaz, każdy kaprysik pani...

— Dziękuję panu za tyle uprzejmości, ale kaprysów nie miewam, a rozkazów dawać ani bym śmiała, ani chciała.

— Ach, jakaż zimna i surowa minka! czy i serduszko takie same?

— Dzieci! pokażcie pannie Mewie wasze truskawki! — rzekła Malwa do Jania i Nili, słuchających z właściwą dzieciom ciekawością, rozmowy starszych. Gdy odbiegły na drugą stronę ogródka, Malwa rzekła:

— Jeżeli pan mówi o rozkazach, to skorzystam z tego, aby zwrócić się do pana z prośbą.

— Droga panno Malwo, jakże mi będzie przyjemnie! Choćby pani zechciała gwiazdki z nieba na szpilkę do tych cudownych włosów...

— Chcę pana prosić — przerwała, — aby mi pan nie przeszkadzał przychodzić do Dziecina, gdzie mi jest bardzo miło.

— Co? — zawołał zdziwiony, — ja pani?... ja miałbym...

— Pan — przez roztargnienie zapewne — zapomina się i mówiąc do mnie, używa wyrażen, wykreślonych ze słownika Dziecina. Więc jeżeli moja osoba ma być powodem do przekraczania prawideł obowiązujących na tem miejscu, będę musiała przestać tu bywać.

— Ach, jaka z pani rygorystka! co to za mateczka kiedyś będzie!... Dobrze więc, obiecuję pani, że *tutuj* będę mówił inaczej.

— Dziękuję panu.

— Ale za to pani mi powie, gdzie i kiedy będę mógł otwarcie wyjawić jej to, co czuję?

Ujął jej rękę z przymileniem, chcąc pocałować, ale ona cofnęła ją żywo.

— Nigdy i nigdzie nie jest to dla mnie pożądanem, — rzekła bardzo sztywnie i szybko odeszła w stronę grząd z truskawkami, gdzie wysłała dzieci.

Były one zajęte zrywaniem najpiękniejszych jagód i przynoszeniem ich siostrze, która siedziała z Zygmuntem na ławeczce pod akacyami. Zygmunt był nachmurzony, a Mewa wesoła i rozswawolona; on chciał coś mówić, ona mu przerywała, dużą kicią różowego prosa trzepiąc go po twarzy. Widząc nadchodzącą Malwę, Zygmunt wstał, aby jej zrobić miejsce, i rzekł półgłosem:

— Wszak prawda, panno Malwo, że tu, w Dziecinie, obowiązani jesteśmy stosować się do kodeksu, ustanowionego przez panią Rejską, jakeśmy jej to obiecali?

— Wszak prawda, panno Malwo — zawołała, przedrzeźniając go Mewa, — że tu, w Dziecinie obowiązani jesteśmy mieć spuszczone oczy, zasznurowane usta i złożone na piersiach ręce?

— Wcale nie — odpowiedziała, śmiejąc się Malwa, — tu wolno nawet bawić się w kotka i myszkę i tańczyć zajęczka.

— Co za szeroka autonomia! — rzekła Mewa, — ale dla mnie to nie dosyć, bo ja jestem zwolenniczką złotej wolności w najszerszym zakresie, i dość mi czegoś surowo zabronić, aby mój duch niepodległy zaraz tego właśnie się napał. Nila! nie chcę dojrzałych truskawek: narwij mi zielonego agrestu!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DEOTYMA.

NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

(Ciąg dalszy).

Biada ci nurku, że pchnięciem junackiem,
 Sam się téj sepji uczepiłeś wschodniój!
 Czyjaż moc teraz oderwie cię od niój?
 Broni się jeszcze Frantz, lecz już omackiem.
 Twardą rąk parą w pól przepiłowany,
 Żle włada bronią, mdle zadaje rany.
 Arab się śmieje z tych ran..... wiatr je zetrze!
 Niby wąż boa, w okręceniu ślizkiem,
 Coraz ciaśniejszym dławi go uściskiem.
 Aż uniósł chłopca w powietrze.

Od miasta, ludzi nadbiegało dwoje.
 Nasz Michałowicz, i podobna lalce,
 Panna Urszula, strojna i na boje.
 — Zrazu się dziwnój przyglądali walce,
 Aż chłop zakrzyknął: — «Panowie se mylą.
 «Rzecz łacna. Łotra oślepić i tylo.»
 — Ściągnął ze siebie sukniisko łatane,
 Po kupie gruzu wspiął się krokiem draba,
 Przysiadł u wierzchu, i zdjętą sukmanę,
 Zrzucił na głowę Araba.

Uniósł, i z łupem uchodzi ku fossie.
 Hans widzi, pędzi, drogę mu zabiega.
 Beduin mądrze cofa się do brzegu,
 Pod mur. Tu staje w szanćowym ukosie,
 O kupę gruzów oparł się plecyma,
 Jeńca, jak tarczę wciąż u piersi trzyma.
 Hans chce uderzyć — zadrżała mu lanca.
 Jak ich rozróżnić pod płaszczem? Ach Boże,
 Jak dźgnąć Araba, nie dźgnąwszy i Frantza?
 Więc krzyczy: — «Ratuj, kto może!»

Ten, oślepiiony, w porywie zmieszania,
 Zrobił bezwiedny ruch: rozwiązał ręce —
 Wznosił je — szukał, co mu twarz zasłania?
 A Frantz się zsunął — odetchnął po męce —
 Ciał płaszcz rapiérem, i z tych sideł zdrady,
 Wyskoczył chwiejny, od gniéwu aż błady.
 — Wnet Pahr, serdecznój pozbywszy się trwogi,
 Pochwycił topór, — w poziomym rozmachu,
 Beduinowi cisnął go pod nogi,
 Kość pękła. — «Tak chcesz Allahu!»

Dwóch ludzi w téjże zjawilo się chwili.
 Od Wież, Kólczycki, — a Pahr, od wylomu.
 (Tak ci, co razem wyruszali z domu,
 Na końcu bitwy, znowuż się łączyli.)
 Stają przy Hansie. Przerażeniem zdjęci,
 Widzą: pod płaszczem coś dziwnie się kręci....
 Frantz jęczy: — «Cóż to? Czy niéma nikogo?
 «Nie baczcie na mnie..... Tłuczcież go! Niech padnie!
 «Duszę się.....» Tamci, odurzeni trwogą,
 Rękoma trzęsą bezradnie.

Z tym krzykiem, Arab zgiał jedno kolano.
 Rozpacznym ruchem twarz uwolnił z maski.
 Chciał szabli dobyć, rękę mu zsiékano.
 Potoczył wzrokiem błagającym łaski,
 Lecz rozwścieczony w krwawój pohulance,
 Hans, nie przebaczył, w piersi mu wbił lancę.
 Toporem Pahra odrąbał mu głowę,
 Zatknął na pice. Krzyczał; — «Bogu dzięki!
 «Ślub wypełniony! Trofeum gotowe!
 «I tyś żyw! Bracie, daj ręki.»

Piérwszy Kólczycki zabrał się do dzieła,
 Strzelił. Celował w Beduińskie ciemie,
 Lecz kulka ledwie że kaptur musnęła,
 I wpadła w gruzy. — Pahr, patrzył na ziemię,
 Przyklękał, szeptał: — «Pomyślenie świetne
 «Przyszło mi..... rzucę — nogi mu podetnę.»
 — Zaczém podglądał, to z téj, to z téj strony,
 Bacząc roztropnie zkąd mierzyć mu trzeba?
 Lecz nim się zdobył na cios upatrzony,
 Pomoc im spadła, jak z nieba.

Uściskał Frantza. Panu Kólczyckiemu,
 Nie w smak to poszło. Rzekł: — «Panie młokosie!
 «Prawda, żeś głowę tę zdjął, ale czemu?
 «Bo mój muszkiećk piérw dał jój po nosie.»
 Rzeźnik nań fuknął: — «To kłamstwo za duże.
 «Gdzie kula Pańska? Tam ugrzęzła, w murze!»
 Lecz tu znów panna stanęła za sędzię.
 — «Ach nie!» — Wołała. — «Niech nikt mu nie przeczy.
 «Pan Dolmecz piérwszy wziął się tu do rzeczy.
 «On piérwszy zawsze i wszędzie!»

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czesław Jankowski.

Typy niewieście w literaturze XIX w.



V.

L é l i a.

«Lélia avait donné un dementi puissant à toutes les prévisions applicables aux destinés vulgaires. Elle avait triomphé de tout: de son amant, du monde et d'elle-même. Sa force effrayait Sténio; il ne savait plus s'il devait la maudire ou se prosterner.»

«Lélia,» LXIII.

Wystarczy zapamiętać jedno to określenie, aby przyznać, że utożsamiając siebie z Lelią, dałaby George Sand dowód niebyle jakiej zarozumiałości. To też—wbrew mnogim twierdzeniom—nie miała wcale zamiaru nakreślić w „Lelii” własnego wizerunku. Chodziło jej o danie ujścia własnym marzeniom, rojeniom, o ucieleśnienie w fikcyjnej postaci pewnego ideału kobiety—tytanicznej. Lelia myśli i czuje, jak George Sand w 1832-im roku; pani Sand, marzeniem ówczesnym, mieć życie takie: jak Lelii i tyle zdziałać, co ona. W jednym z jej listów znajduje się ustęp, wyraźnie to zaznaczający: „Lelia nie jest mną. Jestem zanadto dobrodusznym dobrą, ale to mój ideał. Tak wyobrażam sobie moją Mużę, jeżeli w ogóle mogę pozwolić sobie mieć Mużę...” A na innym miejscu: „Lelia, to powieść, w którą włożyłam mego „ja” więcej, niż w każdą inną.”

Dzieje książki tej, we wszechświatowym powieściopisarstwie istotnie *klasycznej*, ze względu na romantyczno-deklamatorską typowość, oraz na wpływ wywarty—są następujące:

Pisze ją George Sand w ciągu r. 1832-go. W marcu roku następnego poznaje Alfreda de Musset; w sierpniu roku 1833-go ukazuje się „Lelia” w druku, w dwutomowym wydaniu i G. Sand nowemu przyjacielowi swemu posyła egzemplarz powieści, pisząc na tytułowej karcie pierwszego tomu: „*A Monsieur mon gamin d'Alfred! George,*”—a na okładce drugiego tomu: „*A Monsieur le vicomte Alfred de Musset hommage respectueux de son dévoué serviteur -- George Sand.*” Musset pośpiesza podziękować listem, w którym po raz pierwszy ceremonialny wyraz „Pani”—nie figuruje wcale. W końcu sierpnia otrzymuje Sainte-Beuve list od George Sand; z całą szczerością i otwartością donosi mu o zawiązanym z Mussetem stosunku.

Tymczasem książka wywiera niezmiernie wrażenie. Rozchwytuje ją publiczność, piszą o niej we wszystkich gazetach. Sainte-Beuve unosi się nad potężnym, głębokim choć rozpaczliwym sceptycyzmem „Lelii”; czasopisma konserwatywne miotają pioruny. Jeden z najwybitniejszych krytyków ówczesnych, Capo de Feuillade rzuca się na powieść z niepomowaną zjadłością i woła, iż nie wierzy, aby napisać ją mogła kobieta, bo nie zdobędzie się kobieta na tak bezwstydne wyuzdanie! Ujmuje się za autorką „Lelii” inny recenzent, Gustaw Planche i wyzywa na pojedynek napaśnika. Przeciwnicy wyszli cało. Utrzymy-

wały złośliwe języki, że kula Planche'a trafiła w pasącą się opodal krowę, za której zabicie wynagrodził odpowiednio właściciela... Buloz, wydawca „Revue des deux mondes,” ponieważ Planche nigdy nie miał grosza przy duszy... Mniejsza o krowę, dość, że powieść nabrała w lot szerokiego rozgłosu, zarówno we Francji, jak za granicą. Wywołała istną burzę, a autorce zjednała opinię pisarza „niebezpiecznego,” propagującego idee przewrotne, bezbożne, niemoralne, gorszące. A tak do imienia George Sand przylgnęła, iż do dzisiejszego dnia utrzymał się zwyczaj nazywania pani Sand wprost tylko autorką „Lelii,” ba!—krótko: Lelią. Wpływ powieści był ogromny. Puszczono w obieg popularną opinię, że bohaterka romansu jest najdoskonalszą rzeczniczką wszystkich aspiracji kobiet—postępowych. „Lelia” wywołała cały *rodzaj* utworów powieściopisarskich, wzorowanych na głośnej powieści. Gęste naśladownictwa rozmachu, stylu, formy lub ducha pojawiają się przez cały szereg lat we Francji i za granicą, zwłaszcza w Niemczech. Dość przypomnieć bohaterki powieściowe hrabiny Hahn-Hahn, utwory Maxa Waldau, Gutzkova i innych.

W r. 1836-ym George Sand, pod wpływem Lamenaïs'go, Michel'a, Leroux, Liszt'a, odmieniła w znacznej mierze sposób swój pojmowania i patrzenia na rzeczy. Sceptycyzm Lelii i wybujałość jej indywidualizmu wydały się jej przesadnymi. Wzięła powieść na nowo pod pióro, przerobiła ją, rozszerzyła—i ukazało się nowe, *ne varietur*, wydanie „Lelii,” odbiegające w wielu szczegółach od wydania pierwszego, przede wszystkim znacznie powiększone. Na tej odmianie ucierpiała forma powieści; przybyło jej rozwlekłości, ale, by się tak wyrazić,—duch utworu pozostał. Tytaniczno-romantyczno-rewolucyjny to duch, którego już dziś „moc nad sercami ludzi” zwietrzała, ale którego polot wysoki dziś jeszcze dla nas widoczny, a którego jaskrawość i oryginalność dziś jeszcze dla nas pochwytne. Bardziej zaś, niż dla współczesnych, zrozumiałe dla nas potężne wrażenie, które utwór ów wywarł—swojego czasu, na tle ówczesnych nastrojów i upodobań.

Lelia d'Almovar (o romantyczności samych imion i nazwisk!) to kobieta—wyjątkowa. Wyjątkowa przede wszystkim, jako umysł łaknący dla siebie i dla świata: światła i swobody; nie tylko łaknący, ściągający namiętnie ognie owe święte z nieba na ziemię. Nie wierzy ani w Boga, ani w miłość, ani w ludzi. Widzimy ją na początku powieści skazaną na bezczynność, która ją zabija, pograżoną w analizowaniu siebie i spraw ludzkich, które toczą serce jej, jak czerw.

Kocha ją młody, życia nieświadomy, poeta—Stenio. Lelia kocha go też, ale w sprawach miłosnych doświadczona, nie chce dopuścić do zawiązania się zbyt ścisłego stosunku; pragnie zachować „czystość” uczuć; poetę swego traktuje, jak dziecko, strzegąc go od własnego sceptycyzmu. Stenio nalega. Zawiązuje się między nim a Lelią walka, skomplikowana zazdrością poety względem niejakiego tajemniczego Treumora, z którym Lelia jest w przyjaźni. Treumor ów, to ex-hulaka i zabójca, i więzień, którego lata cierpień przeobraziły, który winy swe odkupił i poświęcił się oto

sprawie szlachetnej uszczęśliwiania ludzkości. Lelię łączy z Treumorem tylko przyjaźń i głęboki dla podniosłej tej duszy szacunek. A Stenia unika, kochając go. Szuka nawet schronienia w murach klasztornych i przygotowuje się tam w duchu, do pełnienia wielkiej misji, wskazanej jej przez Treumora. Z pożaru klasztoru wyratowuje ją mnich Magnus, w którym przepiękna kobieta budzi zdroźną poządliwość. Tymczasem Stenio miota się i nie mogąc pojąć, dlaczego Lelia, kochając go, z objęć jego się wymyka—wpada w szal rozpaczny. A oto pojawia się na horyzoncie powieści siostra Lelii, Pulcherya, kobieta jak najłżejszych obyczajów, a niezmiernie powabna. Usiłuje ona wytłómaczyć Lelii, że jej poszukiwania prawdy i absolutu—nieszczęścia tylko dają i cierpienie. Nie filozofować—ale kochać i używać rozkosznie życia! Tylko rozkosz jest realną, tylko ona zdolną jest ujarzmić człowieka. Dowiedzie tego—eksperyment.

Podczas balu maskowego w willi Bambucci, Pulcherya bierze na się strój i postawę Lelii, a tak łudząco, że—w nocy i pod maską—wprowadza w błąd Stenia. Bierze on Pulcheryę za Lelię i—aczkolwiek zdziwiony postępowania jej odmianą—spędza z nią chwile, o które napróżno dotąd błagał! Podstęp, rzecz prosta, wychodzi na jaw, ale Pulcherya, rozpętawszy zmysły Stenia—ujarzmiła go. Zostaje on jej kochankiem. Lelia rozpacza; Stenio, otrzeźwiony z uroku Pulcheryi, przeklina siebie, przeklina Lelię i rzuca się w odmet życia hulaszczego i rozpustnego. Powstrzymać go na tej drodze nie zdolny nawet Treumor, szef loży karbonarów, pragnący pozyskać dla swej sprawy nieszczęsnego, ale niepospolitego człowieka.

Lelia, zrażona do wszelkich związków serdecznych, tak dalekich od jej ideału, postanawia poświęcić się dobru ludzkości—i wstępuje do klasztoru. Rychło staje na najwyższym, dostępnym kobiecie szczeblu hierarchii kościelnej: zostaje przeoryszą (*abbesse*) i przeobraża zarówno klasztor, jak okolicę całą; umoralnia, nawraca, wpaja w ludzi, instytucje i uczynki ducha Chrystusowego; bo Lelia, zerwawszy z zewnętrznymi religii oznakami, jest w najszczytniejszym znaczeniu tego słowa chrześcijanką. Nawraca nawet kardynała; wyratowuje uwięzionego za spiski Treumora. Stenio kocha ją wciąż i stara się dotrzeć do niej. W przebraniu mniszki dostaje się do klasztoru, a raz nocą pojawia się w celi przeoryszy. Następuje kulminacyjny moment powieści: rozmowa Lelii ze Steniem. Tłómaczy mu ona czem była, dlaczego tak a nie inaczej postępowała z nim, odsłania przed nim całą duszę swoją, całe swoje życie. Wówczas Stenio poznaje ją—z własnej woli—utracił kobietę, jak nisko upadł i jak nieprzebyta przepaść dzieli go teraz od niej, od tej, która w głębi ujarzmionego serca kocha go wciąż, ale już do niego nigdy należeć nie będzie. Zrozpaczony—odbiera sobie życie.

Tymczasem ów mnich, Magnus, odtrącony przez Lelię, mści się. Denuncjuje ją oszczerczo władzy kościelnej, że: sprowadziła z drogi cnoty kardynała, że była współniczką zamysłów uwięzionego powtórnie Treumora, że utrzymywała zdroźny stosunek z poetą Steniem, a na-

stepnie samobójcę pozwoliła pogrześć na cmentarnej ziemi, że rozproszyła skarbiec klasztorny i t. p. Lelia zostaje sądzoną, zdegradowaną i skazaną na pokutę w odludnym klasztorze. Tam błądzącą wśród gór, spotyka Treumor, również tułacz i wygnaniec. Na ręku jego Lelia umiera, a Treumor grzebie jej zwłoki w pobliżu mogiły Stenia. W nocy widzi dwa błędne ognie, jak meteory, unoszące się nad obu mogiłami, zbliżające się do siebie i rozłączające się znowu. Treumor budzi się z zadumy, przypomina sobie, że wiele jeszcze po świecie Bożym jęczy dusz niepokieszonych, ujmuje w dłoń kij pielgrzymi i pełni czyny miłosierdzia, rusza w świat...

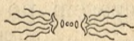
Co to wszystko? Sen upalnej, dusznej nocy lipcowej? Ludzie-ż to żywi, czy allegoryczne, fikcyjne postacie. Stenio „nie poznaje“ Pulcheryi. Lelia, namiętna indywidualność, spragniona czynu, wstępuje do—klasztoru! i t. d., i t. d. Gdzie, na jakiej planecie dzieje się to wszystko?! To bajka z „Tysiąca nocy“, to idee wybuchające, nie działające ludzie z krwi i kości!

Bardzo tam troszczono się w roku 1833-im, a i później w lat wiele o możliwość, prawdę, realizm porywającej—baśni! Nie patrzano na obraz i akcję, słuchano tego, co wygłaszały figury. A wygłaszały teorie, zasady, myśli, na czasy owe wprost—piramidalne. My dziś z nimi otrząskani. Teorie, zasady i myśli, tocząc się z ust Lelii i Treumora w powodzi frazeologii dość mglistej, czem-że są wobec taranów, którymi wałę w nas Tołstoj, Ibsen, Dostojewski, Björnson! Znamy je, owe teorie o równouprawnieniu kobiet, o samowoli i bezkarności mężczyzn, o bezmyślności karnia przestępców więzieniem lub wygnaniem, o „zemście“ wywieranej przez społeczeństwo na „niewinnych“ („Wskrzeszenie“ Tołstoja), o zreformowaniu wychowania dzieci, o potrzebie wiedzy, o swobodzie myśli, o okropności małżeńskiej instytucji („Sonata Kreutzer“ rozwija je o wiele jaskrawiej i potężniej), teorie o poświęcaniu własnego „ja“ służbie i szczęściu ludzkości (cały Treumor wykuty z tej zasady), etc., etc.—teorie my te wszystkie, tyrady, dowodzenia, wzywania znamy, znamy na pamięć!... Ale wówczas gdy cisnęła je w świat George Sand—były nowością. Nawet spowite w mgły frazeologii i kwiaty retoryki napuszonej padły z głośnym hukiem na grunt wrażliwy dziewczością swoją i nastrojem ówczesnym. Żadne dzieło filozoficzne owej epoki nie wywarło takiego wrażenia jak zaprawiona sosem modnego romantyzmu, i modnej egzaltacji, filozoficznie tylko nastrojona, powieść pani Sand. Filozoficzna tendencja „Lelii“ koszlawa, niejasna, przeciągnięta, bałamutna, rozczochrana, ale że ujęta w formę popularyzatorską, skrojoną doskonale według gustu szerokiej publiczności ówczesnej, przeto wsiąkla w umysły i serca szybciej i głębiej, niż manna i rosa najznakomitszych dzieł ówczesnych myślicieli.

Dzieje „Lelii“ głośnej swojego czasu na świat cały, dziś złożonej w podręczniki literatury, jak archiwalny, pamiątkowy zabytek, to typowy okaz doli—powieściowego utworu. Nie ich przesunęło się przez drzące gorączkowym zaciekawieniem ręce czytelników i ile ich zapadło w muzeum literatury, aby nie

wyjrzeć już ztamtąd nigdy na świat Boży! „Pamela“ i „Klaryssa“ Richardsona, „Promesi sposi“, „Lelia“, „Tajemnice Paryża“, „Trzej muszkietierowie“, „Powieść bez tytułu“, „Tadeusz bezimienny“, „Listopad“, nie, nie mnóstwo przykładów, bo każdy je ma w pamięci. Jak baśni o wilku żelaznym słuchamy relacji lub opowiadania o szalonej pocztytności tych utworów — *in illo tempore*. A dziś? Któż je weźmie do ręki? Nawet kunszt pisarski, który nieśmiertelność zapewnił „Orlandowi Szalonnemu“, balladom Schillera, „Zofiówce“, pioskom Beranżera, nawet „Maryi“, nawet gawędom Syrokomli, nie uratował od wspólnego powieściom losu naczelných arcydzieł powieściopisarskiej pracy. Jak Schillerowski murzyn, spełniły swą powinność, missyę swoją i odeszły. Powiedzą mi: nie dziw, bawiły tylko. Nie, nie tylko bawiły. Obrazowały żywo i plastycznie stany społeczne, prądy, nastroje; i — popularyzowały zdobycze umysłów, porywy sere, zwroty do wspomnień, rojenia o przyszłości. Urabiały w znacznej mierze „ducha czasu.“ Z nastaniem nowej epoki społeczno-obyczajowej, z nastaniem nowego okresu pojęć, gustów, prądów — znikają z widowni i leżą tam w muzeach literatury, jak szacowne a często drogocenne, nowego pokroju, „arki przymierza“, w które historyczne już pokolenia składały „myśli swych przedę, uczuć swoich kwiaty.“ Dawniej, przed wielu, wielu laty arka taką była popularna pieśń gminna, dziś jest nią pod niejednym względem—powieść, popularniejsza, niż wszelki inny piśmienniczy utwór.

Takie losy przeżyła też „Lelia;“ takie też ma dziś dla nas znaczenie. Nie dzieło to sztuki nieśmiertelne, nie posąg to nieśmiertelny plastyczny i typowy, jak Wenus Milońska, Madonna Syxtyńska, Julia, Gretchen, Goplana; bohaterka pani Sand to nieśmiertelny symbol epoki, przymykającej do połowy XIX-go wieku. Nie postać to niewieścia; to personifikacja nastrojów i egzaltowanych porywów tej epoki.



Ferdynand Hoesick.



NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

V E V E Y.



(Dokończenie).

O pół godziny drogi pieszo od zamku Chillon leży w końcu jeziora, tuż koło ujścia Rodanu miasteczko Villeneuve, starożytne miasteczko szwajcarskie, z nadbrzeżnym bulwarem, ocienionym kasztanami, z jedną główną ulicą, ciągnącą się wśród staroświeckich domów jedno lub dwupiętrowych, z kościołem w środku miasta, z paroma domami zajezdnymi, bo trudno je chrzącić nowoczesną nazwą hotelów, i z paroma winiarniami, gdzie można dostać doskonałego wina miejscowego, zwanego Closs de Moines. Miasteczko to, liczące obecnie 1,740 mieszkańców, o ludności ubogiej, przeważnie rzemieślniczej i rybaczkiej, omijane przez cudzoziemców, którzy w niem

nic nie mają do oglądania, istniało już za czasów rzymskich, jako Penneloci. Z poetów zwiedzał je Byron i Słowacki. Ten ostatni zwiedził je najpierw w r. 1834-ym, kiedy tu wylądował razem z rodziną Wodzińskich, a następnie w roku 1835-ym, w czasie pobytu swego w Veytaux. W liście do autora „Irydyona“, będącym rodzajem poetycznego prologu do „Lilli Wenedy“, objaśniając przyjacielowi swemu, z kąd się w wyobraźni jego postać tej białej wenedyjskiej kapłanki zjawiała, wraca Słowacki wspomnieniem do szwajcarskiej epoki swego życia i kresli przy tej sposobności poetyczny nadzwyczaj obraz miasteczka Villeneuve, nadając mu tem samym prawem obywatelstwa w naszej literaturze: „Przed pięciu laty — opowiada Słowacki — mieszkałem nad jeziorem w Szwajcaryi, blisko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium. Miasteczko to, położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, czarowało mnie swoją wiejską i spokojną pięknnością. Na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które, podobne rzymskiemu legionowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozprószyć... Co? Kilka domków, biało odbitych w jeziorze, mały kościółek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych, które jesienią obwieszane mnóstwem chłopiat, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesółych twarzy, niby jabłonie sadów naszych mnóstwem owoców spłonię.“

Takim jest dzisiaj to miasteczko... Lecz niegdyś, przed wiekami, na tem samym miejscu, odbyła się straszna tragedia młodej kapłanki bogów awentyńskich, Julii Alpinuli, która straciwszy ojca, za zdradę stanu przez Aulusa Caecinę na śmierć skazanego, sama wkrótce po nim z rozpacz, że go uratować nie mogła, zmarła przedwcześnie... Grobowiec jej w kształcie kolumny, zachował się — w pobliżu Villeneuve — aż po dziś dzień, a choć nad nim przeszła burza kilkunastu stuleci, napis łaciński, wyryty w twardym kamieniu, jeszcze da się odczytać:

Julia Alpinula

Hic jaceo

Infelicitis patris infelix proles

Deae Aventinae sacerdos

Exorare patris necem non potuit

Male mori in fatis illi erat

*Vixi annos XXIII *).*

Byron w swoim „Childe Haroldzie“ poświęcił temu smętnemu grobowcowi dwie elegijne strofy:

*) Słowacki w swoim poetycznym liście „Do autora Irydyona“, dedykując mu „Lillę Wenedę“, podał tekst tego napisu w dokonanym przez siebie wolnym przekładzie polskim, brzmiącym, jak następuje:

Julia Alpinula

Tu leżę

Nieszczęśliwego ojca nieszczęśliwa córka.

Bogów Awentyńskich kapłanka.

Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam.

Nieszczęśliwie umrzeć w losach jego było

Zylam lat XXIII.

W przekładzie tym dopuścił się Słowacki jednej tylko drobnej niedokładności, mianowicie, gdy Julię Alpinulę czyni „bogów Awentyńskich kapłanką“, kiedy w oryginale stoi: „bogini Awentyńskiej kapłanka.“

Przy samotnym okopie, samotniejsza sterczy
Z siwą głową posepna starych lat kolumna.
Jest to szczątek, którego czas nie zniósł mordercy
I wygląda jakoby postać bezrozumna
Człowieka zmienionego strachem w słup kamienny
A życie czującego. Wiekami brzemienny
Cudem jeszcze ten pomnik przeszłość uchowała,
Gdy współczesny mu prawie, ręki ludzkiej chwala,
Aventicum, ruinami pokrył kraj ościenny *).

I tam, ó imię święte, lzy wyciskające!
Julia, córka, kapłanka w lat wiosennych dobie
Poświęciła się Bogu... Serce kochające
Po Bogu, ojca, pękło na ojcowskim grobie.
Sprawiedliwość lez nie zna: ona łzami swemi
Błagała życia, w którym życie swe zawarła...
Sąd był prawy i ona przy ojcu umarła.
Grób ich skromny i niema posagu nad niemi:
W jednej urnie duch jeden i jedna garść ziemi.

Słowacki, który w czasie pobytu swego w Veytaux, dużo przechadzał się po okolicy z poezjami Byrona w ręku, i przed tym grobowcem Julii Alpinuli niejedną spędził chwilę zadumy, a czytając wryty na nim napis, oczyma swej duszy poetyckiej widział straszną scenę śmierci nieszczęśliwego ojca w oczach córki, odgadywał, że „musiało tu być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski, ucinający głowę starca, i słowo *S. P. Q. R.* błyszczące na rzymskich chorągwiach.“ Z rozmyślań o tej tragedii Julii Alpinuli, która, nie mogąc ojca swego od śmierci wyprosić, sama zstąpiła za nim w wiosnie życia do smutnej krainy cieniów, zrodził się w wyobraźni autora „Balladyny“ pomysł „Lilli Wenedy“, a choć ten pomysł dopiero po upływie lat pięciu przyoblekł się w konkretne kształty, to jednak wątpliwości nie ulega najmniejszej, że jak w ogóle pobyt nad Lemaniem niesłychanie zapładniająco wpływał na twórczość Słowackiego, tak i „Lillę Wenedę“ zawdzięcza literatura nasza błękitom Genewskiego jeziora: ono ją wydało, z jego szafirowej roztoczy, podobnie jak Wenus z morskiej piany, wyłoniła się ta alabastrowa figura polskiej Antygony. Przyznaje to zresztą sam Słowacki, kiedy na czele tej tragedii w liście „Do autora Irydyona“ powiada: „Ta młoda dziewczyna, ta czysta kapłanka, co żyła tylko lat 23, skarżąc się tak cicho — a tak przeraźliwie — z przeszłości, ona to zamieniła się w Lillę Wenedę, Chciałem kwiat łączny przynieść do Polski: niosłem go ze świętem uczuciem, aby nie stracić zeń rosy, listka nie ułamać. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich, na odłamie skały, stawała przede mną, teraz, zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historię: cicha, czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce, nawet przez ojca własnego, raniona.“ Ta okoliczność sprawia, że i teraz każdy, co ma w pamięci „Lillę Wenedę“ i jej tragiczną „poświęcenia się historię“, kiedy wyjdzie po za obręb miasteczka Villeneuve, a znajdzie się wśród dziwnej zieleni łąk szwajcarskich, często ma halucynacyjne złudzenie, że oto widzi białą Lillę Wenedę, ubraną w wodne lilie, że słyszy jej błagalną prośbę z czwartego aktu:

W niezawianej przychodzę koszuli,
Nie noszę chleba, nie mam nic przy sobie,

Lecz wy mnie puście do ojca mojego,
Który od dwóch dni jest morzony głodem...
Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią:
Jam go nie mogła zbawić, więc pożegnam.

Z Villeneuve do Vevey, jeżeli się jedzie koleją żelazną, przybywa się w niecałe pół godziny, a jeśli się przyjeżdża pociągiem o 6-ej po południu, to ma się zaledwie tyle czasu przed sobą, żeby się ogarnąć trochę i zejść na obiad. O ile się stoi w „Hotelu des trois couronnes“, który niewątpliwie trzyma prym pomiędzy wszystkimi hotelami w Vevey, wypada się nawet ubrać wieczorowo, w hotelu tym bowiem mieszka najwięcej Anglików, ei zaś, jako pretendujący do tytułu ludzi z *towarzystwa*, ubierają się do obiadu, jak na raut: mężczyźni występują we frakach, a co najmniej w smokingach, a kobiety stroją się w jasne toalety, niekiedy nawet i dekoltowane (o ile która może pochwalić się pięknym biustem). Wobec tego angielskiego zwyczaju stosują się do niego i inni, tak, iż do obiadu, do którego siada co wieczora przeszło sto osób, wszyscy ukazują się postrojeni: spacerowych sukien damskich, ani szarych marynarek męzkich, nie widzi się wcale. Większość, stołująca się przy *table d'hôte*'cie, zajmuje swe miejsca przy olbrzymim stole pośrodku sali; reszta zaś, pragnąca się wywyższyć nad zwykłych śmiertelnych, siada przy kilkunastu osobnych stolikach. Zarówno stoliki te, jak i stół wspólny, uginają się pod cudowną zastawą, a w tej zastawie, obok przeszlicznego szkła i sreber, największą rolę grają kwiaty, które skąpiane w potokach złotawego elektrycznego światła, rozsiewanego przez trzy olbrzymie żyrandole, składają się na jedyne w swoim rodzaju *coup d'oeuil*. Mnóstwo służby we frakach, pod sprężystym przewodem doświadczonego *maitre d'hôtel*'a, uwija się dokoła stołów, usługuje, roznosi potrawy, zmienia talerze i nakrycie, nalewa wino, etc., a wszystko czyni ze wzorową sprawnością, do tego stopnia, że czasem po prostu odgaduje myśli swych gości, uprzedza ich życzenia. Wszystko to, razem wzięte, z dźwiękami muzyki, dolatującej z przedsionka, na tle wspaniałej sali kolumnowej, połyskującej od marmurów i złocień, składa się na wspaniałą całość, czyniąc z takiego *table d'hôte*'u rodzaj przepysznej uczy, i to uczy Lukullusowej, bo i kuchnia w „Hotelu des trois couronnes“, słynna na całą okolicę, zupełnie stoi na wysokości przepychu sali i nakrycia.

Po skończonym obiedzie, który trwa przeszło godzinę, towarzystwo rozprasza się, rozбивa na różne mniejsze i większe grupy: jedni piją kawę czarną z likierami w olbrzymim westibulu hotelowym, inni wracają do swych pokojów, drudzy idą na spacer po nadbrzeżnym *quai*, ale najwięcej osób wychodzi na taras, gdzie wśród ciszy wieczornej, przy umiarkowanym chłodzie cichego letniego wieczoru, siedzi się w wygodnych fotelach, pali cygara i papierosy, pije kawę czarną, oddycha świeżym powietrzem, przesiąkłym wonią kwiatów, zwłaszcza magnolii i rezedy, słucha się szmeru bijącej fontanny, albo też muzyki lub śpiewu wędrownych Włochów w efektywnych kostymach neapolitańskich.

Nie piękniejszego, jak te „wieczory nad Lemaniem“, spędzane na tarasie „Hotelu des trois couronnes“ w Vevey. Cóż dopiero, gdy ciemno-sine ciemności, otulające cały krajobraz jeziora, rozjaśni wschodzący księżyc, najpierw wielki i złoty, a potem srebrny i mniejszy; gdy seledynowa światłość miesięczna uwydatni sylwety gór dokoła, a na jeziorze położą się długa, migotliwą smugą; gdy po brzegach zaróżowią się światelka w Villeneuve, w Bouveret, w St.-Gingolphe, w Meillerie; gdy po jeziorze zabłysną różnokolorowe lampy statków parowych, zdaleka podobne do snujących się rubinów, szafirów, topazów, szmaragdów i ametystów; i gdy jezioro całe, owiane lekką mgłą, czyni wrażenie jakiegoś fantastycznego nokturnu, pełnego tajemniczości i uroku. Wówczas to, siedząc na tarasie „Hotelu des trois couronnes“, czuje się, jak dusza roztapia się w tym mglistym błękitcie powietrznym, jest się skłonny do uwierzenia, że ta rzeczywistość, którą się oddycha i żyje, nie jest rzeczywistością, lecz marzeniem, nie jawą, lecz snem, snem o spokoju, o ciszy, o ukojeniu, o szczęściu.

Jednocześnie przypomina się słynny opis nocy księżycowej nad jeziorem Genewskim, skreślony przez Byrona w „Childe Haroldzie.“

Nadchodzi cisza nocna. Już się kryją w mroku
Przestrzenie od tych brzegów do wierzchołków góry;
Pomieszane przedmioty widne jeszcze oku,
Tylko zda się, że szare wysokości Jury
Są jak strome przepaście. Przyplwając bliżej
Od brzegów pierś spragniona wciąga zapach świeży,
Który rosa wieczorna do kwiatów przyniosła.
Błyszcza krople kapiące z zwieszonoego wiosła
I świegoce *dobranoc* polny konik chyży.

W przestankach ptaszek jakiś w krzaczku niedalekim
Głos podniesie i znowu do cichości wróci.
Tam, zda się, na pagórku słychać szmer deszczowy,
Lecz to tylko złudzenie, bo rosa bez mowy,
Bez szumu jasnogwiazdne lzy miłości leje
I płacze do tej pory, aż się przyodzieje
Całe łono natury w jej kolor perłowy.

Ciche ziemia i niebo! Lecz ich nie uspieno.
Bez tehu tylko: jak ludzie głęboko wzruszeni,
I bezmowne, jak ludzie, gdy w myślach utoną.
Ciche niebo i ziemia! Na całej przestrzeni
Od gwiazd górnych do spiącej fali na jeziorze
Wszystko w chwili rozmyślań ledwie życiem dyszy...

Ciche ziemia i niebo! Na ziemi, na tarasie, słyszy się szepty rozmowy, a niektóre z rozmów tych, pod wpływem ciszy i mroku, i narkotycznego zapachu kwiatów magnolii, przeobrażają się w marzące duety miłosne; a tymczasem po niebie płynie srebrna tarcza księżyca, który, przeglądając się w lustrzanej tafli jeziora, sieje nie tylko blade promienie swego zimnego światła, ale wraz z niemi zdaje się rozlewać jakiś czar miłosny, jakąś żądzę kochania, jakieś pragnienie niewidzialnych a namiętnych uściśnięć dłoni, pragnienie tajemnej pieszczoty i pocałunków... Patrząc na księżyc ten, wysoko płynący ponad ciemnymi zwałami gór, słabo rozświetlający lodowce i śniegi na ledwo dostrzegalnym w sienie mgły oddalenia Dent du Midi, myśli się także i o poetach, co w czasie pobytu nad Lemaniem niejedną tu przemarzyli taką cichą noc księżycową.

Obok Byrona w pierwszym rzędzie przypomina się wtedy Słowacki, który w swych listach, pisywanych z nad jeziora Genewskiego, nieraz spowiada się z marzeń przy księ-

*) *Aventicum*, rzymska stolica Helvetii, wznosiła się niedaleko Morat, prawie na miejscu dzisiejszego Avenches.

życiu, wschodzącym z za śnieżnej kopuły Mont-Blanc. „Górę Mont-Blanc (pisał dnia 27-go kwietnia 1834-go r.), widzę co dnia z moich okien. Przez kilka dni księżyc w pełni wschodził za tą górą. Nie możecie sobie wystawić, jak to smutno i pięknie, kiedy noc czarna, kiedy samotny w moim pokoju, otwieram okno i czuję zapach wiosenny liści i słyszę słowika w alei ogrodowej, a potem widzę zwolna wschodzący za górą księżyc. Uczucia, których wtedy doznaję, można zamknąć w tych dwóch wyrazach: Smutno i cicho!“ Tych samych uczuć doznawał raz Słowacki i na jeziorze Genewskim, gdy po nim wracał z jakiejś wyieczki z Anglikami w jasną noc miesięczną. „Nie możecie sobie wystawić (pisał pod świeżym wrażeniem do matki), co za przepyszne jezioro przy świetle księżyca: z jednej i drugiej strony błękitniejszą brzegi mgliste, a w końcu jeziora widać migające światła i rzędy oświetlonych okien... Z czwartej strony brzegów nie widać...“

Siedząc na tarasie „Hotelu des trois couronnes“ w cichy jesienny wieczór księżycowy, ma się przed oczyma podobny widok. Pamiętam jeden z takich wieczorów. Na tarasie, choć godzina była jeszcze dość wczesna, nie było nikogo, albowiem wszyscy goście hotelowi zgromadzili się w obszernym *hallu*, gdzie właśnie jakiś prestidigitator i magnetyzer pokazywał sztuki magiczne... Ztąd na tarasie panowała dziwna pustka i cisza. Zdawało się, że to nie taras jednego z najwytworniejszych hoteli szwajcarskich, lecz jakiegoś zakłętą pałacu. Wieczór był ciepły, bez wiatru, a światło księżycowe, padając ukośnie, z po za zębanych grzbietów gór Meillerie, kładąc się na kamiennej posadzce tarasu, wydawało się tem bledszem, im ciemniejszymi były długie cienie od balustrady, palm, oleandrów i kwitnących krzewów magnolii, ławki i krzesła pod platanami, przez które światło nie mogło się przekraść, roztopiały się w granatowej ciemności. Powietrze zdawało się przesycone zimnym seledynem, w którym zielone liście zdawały się być z ciemno-niebieskiej blachy, złotawe pomarańcze wydawały się zielonemi, a rozkwitłe róże były fioletoowego koloru. Z dołu, z ulicy, nie dochodziły żadne odgłosy, a na jeziorze, w połowie zasłanem cieniem od przeciwległych gór, a w połowie widnem i gdzieniegdzie nakrapianem światłością, łamiącą się na lekko pomarszczonej powierzchni, pływały białe łabędzie, jakieś senne i mistyczne w księżycowym blasku... Melancholijną ciszę zakłócał tylko perlisty szmer fontanny pośrodku tarasu.

Wysłuchany w monotony plusk spadającej wody, ukołyszany tą „sonatą księżycową“ natury, której nieuchwytna Beethovenowska melodia zdawała się spływać z każdym promieniem miesięcznym, miałem prawdziwy przedsmak jednego z tych księżycowych nastrojów, jakie Słowacki zaklął w kilku ostatnich strofach poematu „W Szwajcaryi.“

Jest pod moimi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy rozplakany szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc błada zaziera Dyana
I czoło moje smutnym blaskiem mami...
I wstaję błady, przez okno wyzieram,

Sluchając różnych płaczów na dolinie...
Słowiki jęczą i fontanna płynie...

Wieczoru tego, wśród drzew i krzewów na tarasie, nie śpiewał żaden słowik, ale sam „rozplakany szum“ fontanny tak owadnął wyobraźnią, że taras cały, i jezioro w dole, i góry dookoła, i mglista przestrzeń powietrzna, słowem, świat cały, uspiiony i skąpany w księżycowej poświacie, że wszystko to, choć prawdziwe i rzeczywiste, zdawało się złudną, marzeniem, fantazyą, poezją!...

Warszawa, 15-go lutego 1902 roku.



PRZYJAŹŃ.

Legenda Skandynawska.



Sto lat z górą liczy Wiking Grimr, najdzielniejszy ongi wódz Norwegów. Sława imię jego rozniosła daleko poza rodzinne góry i skały, poza okiem niezmierzone morze.

Lata szły za latami, wielki bohater zestarzał się. Biały żagiel nie powiewa już na jego bystrej łodzi, zwycięzki miecz rdzewieje w borsuczej pochwie, tarczę, zawieszoną pod sklepieniem, omotała gęsta pajęczyna.

Atoli nie opuścił Odyn ulubieńca swego, odsonił przed nim boskie swe myśli i stary wódz, siedząc dniami całymi na wysokim ganku i wygrzewając na słońcu strudzone swe kości, czyni sąd nad ludźmi i oznajmia im wolę bogów.

Ostatnie promienie słońca gasną w niezmiernych falach morza i tak samo gasną ostatnie iskry życia w bohaterskim sercu Grimra.

Ocknął się jeszcze na chwilę potężny niegdyś Wiking i zapragnął ostatniej ziemskiej z towarzyszami biesiady.

Olbrzymie, dębowe stoły uginają się pod ciężarem kosztownych dzbanów z winem, czar i pucharów, wyrabianych z najprzedniejszych kruszców, — pod misami, pełnemi pieczeni jelenich i baranich, pod bieluszkami chlebami jęczmiennymi.

Grimr na oną pożegnalną ucztę zwołał wszystkich, zostających jeszcze przy życiu, dawnych towarzyszy swych i druhów.

Wielki ogień płonie na kominie i złoci srebrne brody biesiadników, świeci się tysiącami barwy w zbroi i ozdobach i czerwonawymi smugami zatacza po ciemnej odzieży ze skóry.

Gwar, szum, hałas. Młodzieńcze pieśni wyrwają się ze starych piersi, zardzewiałe w bezczynności miecze uderzają o puklerze i wydzwaniają starą przygrywkę bojową.

Wśród biesiadników krąży puhar weselny. Każdy rycerz wychyla go do dna i zwraca się towarzyszom z serdecznych swych pragnień i zawiedzionych nadziei.

Bogaty wdychał do zaszczytów, biedny marzył o bogactwie, nierozsądny pragnął długiego życia, mądry tęsknił do poza mogiłnych tajemnic, najmłodszy zaś wciąż jeszcze śnił o wojnie, o podbojach, o sławie!

Niemasz wojny! nie ujrzeć wam już zwycięstwa!

Grimr stary ostatni wychylił czarę do dna. Siwa głowa opadła mu na piersi i cicho wyszeptaly jego usta:

— «Daruj, wielki Odynie, śmiałości mych marzeń... w tej chwili, ostatniej chwili mego żywota, widzę jasno... człowiek śmiertelny nie może mieć prawdziwego przyjaciela w szczęściu...»

Rycerze, z natężeniem wpatrzeni w dawnego swego wodza, słowa jego dosłyszeli i z miejsc się swych porwali. Najstarsi tłoczyli się najpierwsi.

— «Jak możesz, Grimrze, krzywdzić nas tak srogo?» — zawołał starzec prawie równy wiekiem Grimrowi, Olaf Wiking, przed laty nieodstępny Grimra towarzysz, — «azali z narażeniem własnego życia nie ratowałem cię na wygnaniu, nie ubłagałem dla ciebie łaski? przypomnij sobie przyjaciela, Grimrze!

— Czy nie wydarłem żony twej z rąk wrogów? przypomnij sobie przyjaciela, Grimrze!

— Czy nie opatrywałem ran twoich po bitwie? przypomnij sobie przyjaciela, Grimrze!

— Czy dałem kiedy posłuch potwarzy, rzucaanej na ciebie? przypomnij sobie przyjaciela, Grimrze!

— Rdza czasu śnać wyżarła w twem sercu pamięć o dawnych towarzyszach, którzy cię nigdy w złej doli nie opuszczali. O, starcze, starcze, któryś czarę życia do dna wychylił, usta twe wyrzekły złe, niesprawiedliwe słowa!

Powstał Grimr-Wiking, głowę podniósł dumnie, raz jeszcze wyprostował wyniosłą swą postać, smętnym wzrokiem powiódł po zgromadzonych i w te odezwał się słowa:

— Towarzysze mili, dajcie posłuch ostatniej mej mowie!... Bogowie, którzy w sercu mem czytają, widzą, że o niczem nie zapomniał. Pamiętam, czem byłem dla was i czem wy byliście dla mnie. Kocham was!... puhar wina wzniecił w całej swej sile dawną miłość dla was. Towarzysze! Wiem, że byliście mi przyjaciółmi dobrymi, wiernymi i prawdziwymi w nieszczęściu. Aczkolwiek to nie łącno, tych atoli człowiek, jak ja, umiłowany przez bogów, znaleźć może... Lecz w szczęściu nie znałem przyjaźni prawdziwej i czystej, ani ja, ani jej nie zaznał żaden człowiek śmiertelny!... Szczęśliwy, jak bogowie sami, byłem po wielkiej bitwie, roznoszącej sławę Norwegów wszerg i wzdłuż po wsze czasy. Krew wrogów zalała pobojowisko, surmy grały pieśń zwycięstwa, a mnie, wodza, w tryumfie niesiono na rękach! O, zaiste, była to chwila niezmierzonego, nadludzkiego szczęścia! Witały mnie ze wszerg okrzyki radości i wesela, nikt mi dobrego nie poskąpił słowa... usta wymawiały słowa miłości i uwielbienia, lecz serca nie wtórowały ustom, serca milczały... Szczęśliwy byłem za młodu na wielkich łowach królewskich. Pewnego razu, zabiłem moc niedźwiedzi, królowi życie uratowałem. Król mnie uściskał, nazwał najdzielniejszym z rycerzów. Towarzysze wieszowali mi i głośno cieszyli się ze mną, lecz serca ich milczały... Najpiękniejszą dziewczicą w Norwegii była Ingeborga, córka Munga. Rycerze kruszyli o nią kopie, niejeden dla niej przebitý był pancierz. I ta cudna dziewczica mnie wybrała. Pod dach mój weszła, jako małżonka moja ukochana. Słów braknie, by

opisać, jak byłem szczęśliwy. Towarzysze radowali się ze mną, ściskali mnie, sypali nam kwiaty pod nogi, śpiewali hymny na cześć naszą... lecz serca ich milczały. Odyn upodobał mnie sobie, wybrał mnie. Mnie oznajmiał mądre swe słowo, ja zaś oznajmiałem je narodowi. Byłem szczęśliwy. Nazwano mnie zbawcą kraju, kłaniano mi się do ziemi, lecz milczały serca tych, którzy mi się kłaniali. Matki mej nie znałem... żona... piękna, jak słońce, żona moja umarła po roku pożycia ze mną. Być może, iż te dwa serca w niedoli i w szczęściu kochałyby mnie jednak... i tego byłoby wiele, bardzo wiele... W nieszczęściu, gdy cierpiał, gdy borykałem się z losem, szukałem ręki przyjaciela... i nie zawiodłem się, wsparła mnie, i upaść, zginąć mi nie dała! Ale w szczęściu, o, druhowie najmiłsi! w szczęściu najwyższego dosięgłem szczytu. Nie chcę przyjaźni, nie chcę jej dowodów i objawów! Stoję wysoko! Niech tam sobie w górze szaleją burze, niech wichry huczą i wyją! Mnie one nie dosięgną... Stoję sam! Dłoń moja nie szuka dłoni przyjaciela i żadne serce ku mnie się już nie wrywa. Towarzysze, byliście mi przyjaciółmi w dniach niedoli, dzięki wam za to! Przelatywałyby się czara ludzkiego szczęścia, gdyby bogowie kroplę czystej przyjaźni do niej doleli... Odchodzę do nieśmiertelnych!

Z. S.



Z listów do „Bluszczu.”



Kraków.

Korespondencya wielkopostna odwraca popiołem przypruszoną głowę od marności światowych, od mieniących się jaskrawymi barwami wystaw i ukwieconych rautów, aby zajrzeć w cichsze i poważniejsze życia dziedziny. Pómy więc cokolwiek o wykładach, odczytach i stowarzyszeniach ekonomicznych lub filantropijnych, których też niemało liczy miasto nasze. Oprócz tak zwanego Uniwersytetu ludowego, t. j. wykładów mniej więcej popularnych, bardzo tanich, a zciągających po większej części nie tę publiczność, dla której były przeznaczone; oprócz bezpłatnych, a także popularnych odczytów, urządzanych w niedziele przez Towarzystwo oświaty ludowej, odczytów w Czytelni dla kobiet i t. p., mamy tu w lutym i marcu szereg (10) wspaniałych wykładów «O życiu», wypowiedzianych przez znakomitych i uczonych prelegentów, jak: prof. Cybulski («Przemiana jestestw organicznych»), Kostanecki («Ciągłość życia»), Rostafiński, Nussbaum («Życie w głębiach morskich»), Garbowski («Geneza życia») i t. p.

Z pomiędzy trzech znów odczytów z dziedziny filozofii (urządzonych przez kółko filozoficzne studentów Wszechnicy Jagiellońskiej), jeden wygłosił gość z Warszawy, oklaskami witany, prof. Struve. Prof. Tarnowski miewa wykłady z literatury polskiej dla rzemieślników, słowem wszystkie sfery, warstwy, wieki, «odczytują» sobie, jak mogą.

Bywają też często w Uniwersytecie urządzane wykłady dostępne dla szerszej publiczności, a częstokroć połączone z dyskusją z dzie-

dziny filozofii, językoznawstwa, przyrody. Jest więc w czem wybrać i kształcić się na rozmaitych stopniach rozwoju umysłowego, że już nie wspomnę o rozlicznych kursach specjalnych, np. ogrodnictwa, wiązania kwiatów i t. p. Wszędzie występują kobiety, jako słuchaczki albo prelegentki (np. p. Zofia Daszyńska-Golińska: «O alkoholizmie»),— ale najczęściej może rozwija się czynność kobieca w stowarzyszeniach filantropijnych lub filantropijno-ekonomicznych. W dziedzinie pierwszych, oprócz Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo, z oddziałem «Pań Miłosierdzia», odwiedzających z pomocą Sióstr Szarytek ubogich chorych i zaopatrujących ich potrzeby, oraz «Pannien Ekonomek», zajmujących się szyciem dla biednych, istnieje od dwóch lat t. zw. «Biuro sprawdzania nędzy», założone przez hr. Andrzeję Potocką (obecnie pod kierownictwem hr. Henrykowej Tyszkiewiczowej), którego zadaniem, jak to sama nazwa wskazuje, jest badanie stanu ubogich, zgłaszających się po wsparcie, aby, o ile możliwości, dźwigać ich z nędzy. Jednym ze środków do tego prowadzących jest otwarta przed kilku miesiącami rękodzielnia kapeluszy słomkowych, wyprawianych później staraniem pań opiekunek na sprzedaż za granicę i w kraju. W dwóch małych izdebkach parterowych grono dziewcząt i chłopaczek niewielkich pod przewodnictwem nauczycielki (jest nią zubożała wdowa, z pracy tej utrzymująca starą matkę i czworo dzieci) uczy się w przeciągu trzech do czterech tygodni wyrobu kapeluszy męskich i kobiecych, potem otrzymują bezpłatnie materiały i małe drewniane podstawki, za pomocą których już samoistnie wyplatają, a raczej wiążą kapelusiki, zarabiając, stosownie do zręczności swej po kilkadziesiąt centów dziennie. Oprócz tego udziela Towarzystwo większych zapomóg, zakupując np. maszyny do szycia, magle i t. p. dla osób, które tym sposobem zyskują utrzymanie dla siebie i rodziny.

Nadzwyczajną czynnością i sprawnością odznacza się Związek niewiast katolickich, rozwijający pod wodzą dzielnej i rozumnej swej prezydentki, pani Henrykowej Dziewickiej, wszechstronną działalność ekonomiczno-filantropijną. Najświetniej dotąd wzrasta i kwitnie zostające pod jego opieką Stowarzyszenie sług, przed trzema laty liczyło sześciu członków, dziś ma ich 1,500, posiada własny dom z przytuliskiem dla sług słabych lub potrzebujących wypoczynku, z ambulatoryum, gdzie pod nadzorem dyżurnych pań lekarze codziennie udzielają porady, apteka lekarstw i opatrunków; ze sklepem zaopatrzonym w doborowy a tani towar i połączony ze szwalnią, wreszcie z biurem pośrednictwa w dostarczaniu służby. Wszystko to utrzymuje się z drobnych wkładek od sług i pań, oraz dobrowolnie poświęcanej pracy tych ostatnich przy rozmaitych sekcjach związku. Przed kilku miesiącami utworzono związek robotnic z fabryk tytoniu i cygar, dostarczając im pożyczek na dogodnych warunkach, które ratują z nędzy, panującej wśród tej kategorii pracownic.

W ostatnich tygodniach powstał związek szwaczek, pod przewodnictwem p. Klary Jelskiej. Oprócz pośrednictwa w pracy, członkinie związku mają bezpłatną naukę kroju, haftu i szycia, bibliotekę, gimnastykę i odczyty

w godzinach wieczornych. W projekcie jest jeszcze związek papierniczek, t. j. kobiet pracujących w intrologatoriach, drukarniach i t. p. Kto wie, czy nie utworzy się Towarzystwo opieki nad dziećmi, tak bardzo potrzebne tam, gdzie biedne matki dnia całe spędzać muszą po fabrykach i warsztatach, a ochrony zakonne wydołać nie mogą w pracy nad tysiącami opuszczonego maleństwa.

W ogóle zgromadzenia zakonne tutejsze rozwijają nadzwyczajną czynność humaniarną; z męskich, Bonifratrzy utrzymują na Kazimierzu szpital i ambulatoryum wybornie urządzone, Przytulisko brata Alberta dla wyrzutków społeczeństwa, znane w kraju całym, a któż zliczy zakony kobiece, niosące pomoc i oświatę wszędzie, gdzie tylko nędza fizyczna i moralna pomocy tej potrzebuje. Z mniej u was znanych—bo o Siostrach Miłosierdzia któż nie słyszał?—wymienimy Felicjanki, goszczące dziatwę i biednych uczniów, którzy, jak niegdyś średniowieczni żacy, przychodzą «na garnuszek» do dobrych mateczek; Nazaretanki z pensjonatem dla uczennic seminaryum (t. j. zakładu kształcącego wiejskie nauczycielki), t. zw. Silezarki z przytuliskiem dla sług i pensjonatem dla samotnych pań, pielęgnujące także chorych w domach. A tyle innych, o których już nie piszemy dla braku miejsca, chociaż nie mniej na uwagę zasługują. Nie podobna tylko pominąć milczeniem przytulisko p. Żurowskiej, o którym musiały wspominać pisma warszawskie, bo u nas od kilku tygodni wszystkie redakcyje zasypane są ofiarami na rzecz tej ochronki dla najbiedniejszej, ze śmiecia pozbieranej dziatwy. Istniała ona już od trzech lat, daleko za miastem, znana tylko małej garstce wybranych, a stworzona i utrzymywana duchem poświęcenia i wielkim sercem ubogiej także, ale nad wyraz zacnej i pełnej poświęcenia niewiasty, będącej zarazem piastunką, mistrzynią, nauczycielką, jednym słowem matką duchową tych osieroconych dziewczątek, którym jako jedyną spuściznę występek i chorobę zostawili nieznani rodzice. Niepodobna opisać wrażenia, jakie sprawia to gniazdko, ciepłem miłości ogrzane, a budzące — rzec można — duszę w tych istotkach od urodzenia zgangrenowanych nędzą lub występkiem.

Każdy prawie z tych zakładów zasługiwałby na osobny artykuł, dający poznać jego urządzenie i szlachetną ideę, która natchnęła twórców. I jakże od tego przeskoczyć do tematu, który w ostatnich dniach zelektryzował publiczność tutejszą? Chcę mówić... o teatrze japońskim, znanym już cokolwiek czytelnikom «Bluszczu.» Mieliśmy tu jedno przedstawienie uroczej Sady Yacco, która, zawitawszy tu ze swą trupą, dekoracyami, parasolami i bohaterem Kawakami, przeniosła nas żywcem do «kraju lalek», jak ktoś (Loti podobno), nazwał piękną jej ojczyznę. Złudzenie było zupełne, dzięki żywej i niezmiernie naturalistycznej grze Japończyków, z nieporównaną mimiką, zastępującą niezrozumiałe dla nas słowa; nie brakło nawet sławnego «hakariki», którem nas pożegnał p. Morito-Kawakami wśród brzmienia grobowego «gongu», towarzyszącego japońskim katastrofom teatralnym.

M. Świd.

Losy emigrantki.



Ku ostrzeżeniu i nauce kobiet, pragnących po za Oceanem szukać poprawy bytu, posłużyć może doświadczenie 28-letniej emigrantki, Angielki, która, budując wiele nietylko na zaufaniu do sił własnych, lecz i na znajomości języka kraju, mającego chleb jej zapewnić, sądziła, iż chleb ten zdobędzie nader łatwo.

Oto, co opowiada o swem poszukiwaniu pracy w Nowym-Yorku:

— Byłam zajęta w biurze pocztowym na prowincyi, ponieważ jednak zajęcie owo [nużyło mnie z powodu swej jednostajności, uległam namowom i pojechałam do Nowego-Yorku z zamiarem umieszczenia się tam w jakim interesie handlowym.

Pierwsze moje kroki skierowałam do magazynu z towarami lokciowymi, lecz tam odpowiedziano mi, że byłabym zbyt cenną. W drugim podobnym interesie usłyszałam odpowiedź, iż przyjmowane są jedynie kobiety miejscowe, w trzecim—iż nie może być przyjęta osoba, która nigdy w tej gałęzi przemysłu nie pracowała. Kiedy stanęłam przed dziesiątym właścicielem magazynu z towarem bławatnym, ten oznajmił mi mało zachęcającym tonem, że właśnie poszukuje zdolnej sklepowej, obeznaney ze sprzedażą, orientującej się szybko i rachującej doskonale. Jeśli więc odpowiem jego wymaganiom, mógłby spróbować zatrudnić mnie. Po tem oznajmieniu zaczął sprawdzać moje uzdolnienie, zarzucając mnie pytaniami, dotyczącymi głównie rachunkowości. Męczący egzamin przebrnęłam szczęśliwie, a pan pryncypał rzekł: „Dobrze więc, ale jeszcze muszę dodać, że przede wszystkim wymagam bardzo starannego ubrania. Czy to pani najlepsza suknia? Musi pani sprawić sobie nową, czarną, codzień zmieniać mankiety i kołnierzyk, czesać się modnie i ładnie. Miejsce wymawia się na tydzień; tygodniowo płacę 8 dolarów. Nadto zaznaczyć muszę, że praca jest tymczasową, sklepową, która ją pełniła, zachorowała.“ Czyż mogłam wobec takich wymagań i tak niepewnego jutra, zaprzestać dalszych starań? Nie tracąc jeszcze otuchy, zwróciłam się do właścicielki sklepu z rekawiczkami. Tu spotkało mnie bardzo surowe spojrzenie i stanowcza odmowa. Właścicielka sklepu przyjmowała jedynie pracujące, znane przez jej krewnych i zamieszkujące u nich. „Na nic się nie zdadzą—zakończyła szorstko—zapewnienia o uczciwości i rekomendacje osób, których ja nie znam osobiście. Na sprawdzanie czasu tracić nie będę.“ Przeszło znowu dni kilka na bezowocnych pukaniach w tę i ową stronę. Starannie przepatrując ogłoszenia w gazetach, natrafiłam wreszcie na ofertę, która nową nadzieję wzbudziła w mem sercu. Ogłoszenie wyraźnie mówiło o stałej posadzie, w kantorze handlowym, dla kobiety, od której wymagano tylko średniego wykształcenia i czytelnego pisma. Pobieglam do owego kantoru i przedstawiłam się szefowi. Zmierzył mnie od stóp do głowy niechętnym, boleśnie pogardliwym spojrzeniem i oświadczył krótko, że nie może i nie chce korzystać z pracy młodej panny, która ma farbowane włosy i malowaną twarz. Oburzona, zapewniałam go, że włosy moje z natury są tak jasne, że twarz moja dotychczas nie znała nawet pudru. Pokiwał głową z drwiącym niedowierzaniem, a ja z płaczem uciekłam z kantoru. Zrozpaczona, rzekłam sobie w duszy: skoro mnie uznano za „malowaną“, pójdę szukać zajęcia w sklepie z cygarami, tam, jak słyszałam, nie biorą za złe, jeśli która sztucznie pragnie podnieść swe wdzięki. Lecz po krótkiej rozmowie z posiadaczem eleganckiej dystrybucji przy Broadway, wyrzekłam się mego śmiałego zamiaru. Niemłody już człowiek przyjrzał mi się uważnie z nieukrywaną litością i przemówił szczerze: „Hm, niebrzydka jesteś, moje dziecko, przyznaję to, ale mi potrzeba innych, śmiałych, szykownych, które i poartują, i po-firtują z kundmanem, i zachęca go do pono-

wnego przyjsia. Pani tego nie będziesz umiała, widzę to doskonale. Z tak uczciwie i skromnie wyglądającą osobką żaden mężczyzna nie pozwoli sobie na żart śmielszy.“ Pomimo nowej tej odmowy bardziej pocieszona, aniżeli rozczarowana, długo jeszcze błąkałam się po różnych pracowniach, kantorach, magazynach, sklepach, eukierniach i t. p. Wreszcie, po dwóch miesiącach daremnego zwracania się na wszystkie strony, znalazłam zajęcie w biurze znacznego nakładcy i wydawcy pisma ilustrowanego. Praca moja zapłaconą jest niezłe, ale jest bardzo uciążliwą i stracić ją mogę za lada pozorne uchybienie, albowiem o sprawdzanie winy pracującego nikt się tu nie troszczy.

Z. S.

Kronika działalności kobiecej.



— Na ostatniem przedświątecznem posiedzeniu Komitetu warszawskiej Kassy pomocy i przeczności dla kobiet, odbytem pod przewodnictwem prezesowej, p. Maryi Kryże, zdecydowano: 1) Otworzyć z dniem 1-m kwietnia r. b. wydział pośrednictwa sprzedaży wyrobów uczestniczek Kassy. Wyroby powierzone w komis, jak również wszelkie zamówienia w zakres pracy ręcznej wchodzące i sprzedaż takowych dokonywane będą w lokalu własnym Kassy przy ulicy Nowy-Świat nr. 57. Wydział ten oddano pod zarząd wiceprezesowej, p. Maryi Wiślickiej. 2) Zorganizowano stałą pomoc lekarską, jak następuje: doktorzy: S. Kijewski, Chomenko, Stano, Rzętkowski, Ettinger—choroby wewnętrzne; doktorzy: Chodakowski i Reutt—choroby kobiece; doktorzy: Kurella i Lück—choroby dzieci; doktor Tyszkiewicz—choroby chirurgiczne; doktor Brennersen—choroby zębów; doktor Kaczkowski—choroby oczu i doktor Moczulski—choroby gardła, krtani i t. p., oraz pp.: K. Maciejowska, M. Jursza i M. Krawczyk. Apteka S. Karczewski i S-ka. 3) Przyznano pożyczkę dziesięciuroblową jednej z uczestniczek Kassy, zatwierdzono budżet Kassy i kupiono list zastawny pięćsetrublowy Tow. kredytowego m. Warszawy. Kassa ma do umieszczenia: ekspedyentki różnej branży, kassyerki, buchalterki, korespondentki z kilkoma językami, piszące na maszynie, osoby do towarzystwa, pielęgnowania chorych, matkowania dorastającym pannom, poszukujące lekcji języka francuzkiego z patentami i t. p.

Sekretarka *Marya Malkowska.*

— W ślad za otwarciem Kassy dla kobiet pracujących, pomysłało o zorganizowaniu Towarzystwa wzajemnej pomocy dla kobiet, pracujących zawodowo. Celem obrad posiedzenia w dniu 21-ym b. m. był projekt ustawy Towarzystwa, obejmujący bardzo szerokie pole działalności. Towarzystwo pomocy uzupełnia niejako nowo-utworzoną, szlachetnie pomyslaną instytucję. Kassa pomocy stanowi opiekę nad chlebem powszednim pracownic, Towarzystwo wzajemnej pomocy pragnie kobietom, pracującym zawodowo, zapewnić posiłek duchowy, umocnienie moralności, która w życiu opuszczonej, pracującej kobiety na tak ciężkie bywa narażana próby. Przyszłe Towarzystwo wypisało więc na swym sztandarze: pomoc moralna, zawodowa, życie towarzyskie, oraz samopomoc w szerokim tego słowa znaczeniu. P. Reinszmidt-Kuczalska zawczasu zaznacza, że Towarzystwo pomocy, żadnemu z istniejących dotychczas Towarzystw nie stanie na przeszkodzie, raczej dopomoże do rozszerzenia ich działalności obecnej. Panie: Szumowska, Dobrzańska i Englertowa czynny udział brały w posiedzeniu delegacyi. Po odczytaniu, w głównych zarysach nakreślonego projektu, rozprawy toczyły się nad ustanowieniem wyraźnego charakteru Towarzystwa, nad tem, czy nieodzownym jest w niem census intelligencyi, czy też wystarczyć ma samo hasło pracy zawodowej i nad-

tym podobnemi punktami, napotykanymi nie mało trudności do zwalczenia. Czas pokaże, czy zawiązująca się instytucya, w zasadzie społeczeństwu pożyteczna i wielce szlachetna celem, stworzy to, co stworzyć zamierza. Miejmy nadzieję, iż energia i obywatelskie poczucie naszych kobiet na pół drogi nie ustana.

— Grono Warszawianek, a mianowicie, panie: Zofia Śliwicka, Katarzyna Kołaczowska, Olimpia Olszewska, Marya Roguska i Józefa Wierzchlejska wypracowały projekt popierania rolniczo-gospodarczej pracy kobiet w Warszawie. Towarzystwo ma na celu: 1) współdziałanie ku udoskonaleniu istniejących już w Królestwie Polskiem gałęzi pracy kobiecej; 2) wprowadzanie nowych gałęzi owej pracy, zwłaszcza w zakresie gospodarstwa i drobnego przemysłu, jak: sadownictwo, ogrodnictwo, pszczelarstwo, gospodarstwo mleczne, tkactwo i t. p., 3) popieranie utalentowanych pracownic w dążeniach ich do udoskonalenia się w rolnictwie i rozmaitych gałęziach przemysłu; 4) wynajdywanie dla wyrobów kobiecych nowych rynków i miejsc zbytu tak w Rosyji, jak i za granicą.

Towarzystwo ma uzyskać prawo urządzania zebrań członkiń, pogadanek i odczytów, oraz kursów praktycznych, poświęconych wiadomościom z dziedziny najnowszych udoskonalen w różnych gałęziach pracy kobiecej; wystaw z nagrodami; konkursów, gwoli podtrzymaniu wytwórczości najbardziej potrzebujących pomocy; założenia muzeum modeli i wzorów rękodziel kobiecych; biblioteki i wydawania dzieł specjalnych, oraz podręczników w zakresie pracy kobiecej; udzielania pomocy pracownicom i przyjmowania pośrednictwa w nabywaniu potrzebnych im narzędzi, materyałów i t. d., a także w zbywaniu ich wyrobów przez urządzenie składów i agentur w miejscowościach, w których pomienione wyroby rachować mogą na zbyt korzystny.

Sprawami Towarzystwa zawiadywać ma zarząd, złożony z przewodniczącej i członków, którzy obowiązani są wybrać z pośród siebie sekretarza i kassyerę. Fundusze Towarzystwa składać będą: składki członków, dochody z urządzanych wystaw, odczytów, koncertów, wydawnictw i t. p., wreszcie ofiary i dochody przypadkowe.

Ustawa projektowanego „Towarzystwa popierania rolniczo-gospodarczej pracy kobiecej“, odesłaną już została właściwym władzom do rozpatrzenia.

Z. S.



OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał następny.

Zwracamy przytem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracyi „Bluszczu“ (Ś-to-Krzyzka, 11).

Treść numeru:

Niewiasty u grobu Chrystusa, obraz Plockhorsta.— Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego.— Zmartwychwstanie (wiersz), przez Zygmunta Różyckiego.— Przyszań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy).— Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy).— Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: V. Lelia, przez Czesława Jankowskiego (ciąg dalszy).— Nad wodą wielką i czystą... przez Ferdynanda Hoesicka (dokończenie).— Przyjaźń (legenda skandynawska), przez Z. S.— Z listów do «Bluszczu»: Z Krakowa, przez M. Świd.— Losy emigrantki, przez Z. S.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Od Administracyi.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz czwarty powieści Matyldy Seraw p. t.: «Siostra Joanna.»

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 20).

Główny Skład ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

Krakowskie-Przedmieście № 55 w Warszawie.

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Plócienka. — Kretony. — Batysty. — Satynki. — Dryliszki
na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne.

poleca również: **Gotową bieliznę damską i męską. — Pończochy. —
Skarpetki. — Płótna. — Stołową Bieliznę. — Ręczniki. — Chustki.**

Dywany. — Firanki. — Portjery.

GOTOWE WYPRAWY od 100 Rubli.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii

BRONZY, ALBUMY,

NESESERY,

WACHLARZE, RĘKAWICZKI,

RAMKI.

SKŁAD

**PERFUMERYJNO-GALANTERYJNY
MARJI BOJDAKOWSKIEJ**

Warszawa, Chmielna № 21.

Poleca znaczny wybór galanterii oraz perfu-
merji fabryk krajowych i zagranicznych.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach
dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bar-
dzo przedkłej i najłatwiejszej nauki **Jezy-
ków obcych bez nauczy-**

SAMOUCZEK

ciela z objaśnieniem wymowy
i z kluczem pod tyt.:

POLSKO-NIEMIECKI, kurs wstępny
(Elementarz) po kop. 5, 12, 24
i 40; — kurs I-y kop. 60, — kurs
II-gi kop. 1.60.

RUSKO-NIEMIECKI, po kop. 5, 12,
24, 40 i 2.20.

POLSKO-FRANCUSKI, kurs I-szy
kop. 1.20, kurs II-gi kop. 3.20,
**GRAMATYKA POLSKO-FRAN-
CUSKA** kop. 1.20.

POLSKO-ANGIELSKI, kurs I-szy
kop. 75, kurs II-gi kop. 1.20.

POLSKO-RUSKI, kurs I-szy kop.
1.40, kurs II-gi kop. 1.80.

Skład u autora, Warszawa, ulica
Złota № 6.

Album Sztuki

Polskiej

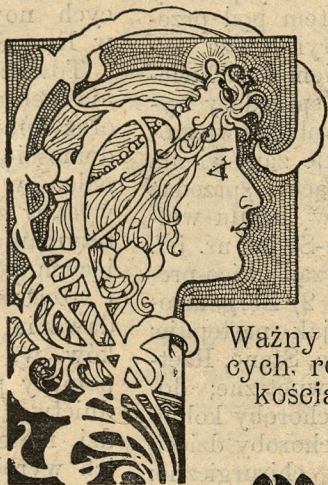
Cena w oprawie Rb. 12.

C. LESKI

Marszałkowska № 143, — I-sze piętro front.

**ZAKŁAD KARBOWANIA
I PLISOWANIA FALBAN, SUKIEN
I KORONEK.**

Karbowania fantazyjne, najnowszych deseni.
Plisowania przeszło lokcie szerokie. Wycina-
nie przeróżnych ząbków maszyną. Wykona-
nie staranne i skore.



Ameryka-Importerzy.

Edisona Patentowane Piszące Kóleczo

Ważny i praktyczny wynalazek dla piszą-
cych. rekomendujemy w 3 różnych wiel-
kościach. Bezwarunkowo potrzebne dla
dzieci i każdego piszącego.

Przesyłamy 6 kóleczek pocztą do domu
za rubli jeden. Sz. Panom Importerom,
Agentom, Kupcom i Reprezentantom,
specjalne ceny.

Penn. Manufacturing Supply Co.
119 S. 4-th Str.

PHILADELPHIA Pa.
U. S. A. Dep. 35.



Załatwiam pogrzeby od rbl. 25

do najwykwintniejszych. Trumny metalowe
od rb. 30, drewniane od rb. 12 i dębowe.
Wieńce metalowe od kop. 75. Makarta za-
suszone od k. 60 Szarfy. Pochodnie. Paki
smolowane do przewozu ciał.

Krepy czysto jedwabne (angielskie) w wiel-
kim wyborze od 70 kop. za lokcie. Odświe-
żam krepe.

100 kapeluszy z woalami od rb. 4; Suknie
od rbl. 15. Spódnice z krepą od rbl. 7
kop. 50. Ubiory pośmiertne.

Z. FIJAŁKOWSKI

Senatorska 26,

(wprost kościoła św. Antoniego).

Mieszkam w tymże domu.

Powyższy towar wysyłam za zaliczeniem.

SPECYALNA FABRYKA FARTUCHÓW I HALEK

M. Raszkes i S-ka

Muranowska
Nr. 14.

Egzystuje
od r. 1878.

Parowa Farbiarnia i Pralnia Chemiczna

Egzystuje
od r. 1878.

p. f. ŁUKOMSKI

Warszawa, BRACKA Nr. 6.

Przyjmuje się do prania i farbowania garderobę damską i męską bez prucia, gobeliny, firanki, dywany,
chodniki; odświeżanie mebli i apartamentów z gwarancją firmy w razie uszkodzenia. Specjalna maszy-
na, sprowadzona z zagranicy do dekatyzowania sukna, kortu, syberyjny i t. p. Pranie firanek, portjer,
chodników przez specjalistów, których zakład wysyła na własny koszt.

Ceny niskie, lecz stałe.

SZKOŁA KROJU

I. GRABSKIEJ

CHMIELNA № 49.

Metoda własna, dyplomowana w Paryżu,
bez linijek i poprawek krajać można wprost
z materiału. Patenty cechowe. 14

Nowootworzony Magazyn Sukien

L. TRANTZ, Nowy-Świat 60

poleca wielki wybór gotowych bluzek, szla-
froków etc. Zamówienia wykonywane są
w przeciągu 24 godzin. 22.

Patentowany angielski PLATINUM ANTI-GORSET,

premijowany na wszystkich hygienicznych wystawach Europy.

GŁÓWNE JEGO ZALETY SĄ:

- Ze nie posiada brykli i bocznych stałek, gdyż Platynowe zapięcie nowej konstrukcji w zupełności takowe zastępuje;
- może być każdej chwili wyprany jak zwykła bielizna, gdyż Platinki mogą być momentalnie wyjęte i wstawiane bez prucia i szycia;
- Platinki są elastyczne, miękkie, lekkie, plecione jak włos, nie rdzewieją, nie łamią się nigdy i dla tego każda dama może swobodnie takowy przez dzień cały nosić, nie doznając najmniejszego ciśnienia na organizm;
- Materiał gorsetu jest mocny, kolor trwały, a przez brak części stalowych zyskuje dużo na lekkości;
- Przez swój dobry fason i odpowiedni krój gorset nasz daje się do każdej figury zastosować;
- Osoby brzemiennie mogą dowoli gorset nasz rozszerzyć lub zwęzić, karmiące zaś, nie rozpinając — karmić;
- Ażeby zaznajomić jaknajwiększy ogół z naszym udoskonalonym Platinum Anti-Gorsetem, naznaczyliśmy na takowy możliwie niskie ceny, a mianowicie: L. rub. 4.85, L. W. z walansjenką rub. 5.35. Cze-Czu-Cza rub. 5.50. C. C. z walansjenką rub. 5.95; Kanwoy 6.50, Batystowy 6.50, Tiulowy Azur z walansjenką rub. 7. Dla brzemiennych, karmiących, oraz bardzo pełnych 50 kop. drożej;
- Anti-Gorset wysyła się na żądanie za zaliczeniem pocztowym z doliczeniem 50 kop. na przesyłkę i opakowanie, przy obstalunku zaś 3-ch sztuk, wysyłka uskutecznia się franco.

Do obstalunku należy dołączyć szerokość jednej połowy noszonego gorsetu w piersiach, talji i biodrach, mierząc one połowę na stole werszkami, centymetrem, i lub taśmką, albo też donieść numer no-
szonego gorsetu.

Panie gorsetów nie używające, zechcą przysłać, mierząc wokoło pod pachami: 1) pełny obwód w piersiach, 2) pełny obwód talji, 3) długość boku (od pachy) do talji. Gorsety wysłane pocztą zamieniamy, wysyłając je na swój koszt, jeżeli okażą się nieodpowiednimi.

Wylączna sprzedaż na całe Cesarstwo i gub. Królestwa Polskiego w fabrycznym składzie „HYGIENA“
w Warszawie, Bielańska № 18.

Adres dla listów: „Hygienu“, Warszawa. Patent 10-letni na całe Cesarstwo za № 1324.

